

WYWIAD NEILA GAIMANA Z TERRYM PRATCHETTEM!

NOWA Fantastyka

04 (355) 2012

MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI

CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



W SPRZEDAŻY
OD 22 MARCA!



PRÓSZYŃSKI
MEDIA

INDEKS 358398

04



ISSN 0867-132X

9 770867 132206

GRA TRON SEZON DRUGI

W NUMERZE: **NIEBEZPIECZNE ZABAWY Z LOKIM**, FANI NA RATUNEK SERIALOM,
WAWRZYNIEC PODRZUCKI O ŻYCIU POZAZIEMSKIM, MICHAEL J. SULLIVAN
„RADY DLA PISZĄCYCH” ODC. 5, **OPOWIADANIA: KEN LIU, IAN MCDONALD,**
JAKUB ĆWIEK, ZBIGNIEW WOJNAROWSKI



04

Pierwszy sezon „Gry o Tron” był jednym z najważniejszych wydarzeń 2011 roku. Ale przecież to dopiero początek sagi i teraz twórcy serialu będą musieli przeskoczyć wysoko zawieszoną poprzeczkę.



08

Tak naprawdę, panie Gaiman, świat, do którego trafia Sam Vimes trudno określić mianem fantastycznego. Tak, są tam gobliny, ale ogólny klimat przywodzi na myśl hrabstwa w środkowej Anglii.



10

Wobec takiej obfitości i różnorodności planetarnych środowisk, pogląd, że Ziemia ze swoją skomplikowaną biosferą może być kosmicznym unikatem, wydaje się obecnie wręcz absurdalny.



14

Autorzy fantastyki chętnie piszą o Lokim, gdyż jest bohaterem niejednoznaczny. Z kolei czytelnicy go lubią, bo czują, że po bogu ognia można spodziewać się wszystkiego.

ZRZUTKA NA OLGĘ TOKARCZUK



Fot. M. Kowalczyk

Przyznaję, nie wiedziałem. Przegapiłem. W pierś się biję i błąd naprawiam. Na swoją obronę mam to, że nikt z nas, miłośników fantastyki, nie zauważył. Milczała „NF” pod redakcją Pawła Matuszka (świetna „Ćma”, Paweł! Trzymaj się!). Milczało „SFFiH” (Rafał, jak mogłeś!?). Nie było o tym na Katedrze ani Poltergeiście. Nikt, ale to nikt w 2009 roku nie zauważył, że na łamach „Krytyki Politycznej” (19/2009) Olga Tokarczuk wymyśliła – uwaga, uwaga – fantastykę. Zdziwieni? No, ja również. I ze wstydem przyznaję, że dopiero teraz sięgnąłem po artykuł „Jak wymyślić heterotopię. Gra towarzyska”, w którym to przeczytałem: *Od kilku lat nęci mnie idea napisania powieści, w której świat funkcjonowałby inaczej. Nie działałyby w nim pewne oczywiste założenia. Wierzę, że uznanie czegoś za oczywiste wcale nie wiąże się z kwestią faktów, lecz raczej umowy społecznej i przyzwyczajęń naszego umysłu, tym samym należy bardziej do dziedziny psychologii niż fizyki.* Oszczędzę Wam dalszego ciągu. Wiercie lub nie, sprawdźcie sami, jeżeli chcecie, ale jak dla mnie to Olga Tokarczuk w roku 2009 wymyśliła science fiction. Nie zważając, że wyważyła otwarte drzwi, nie krępując się robieniem też drzwi do lasu – wzięta pisarka wzięła się za ustalanie zasad, które średniej klasy pisarze SF już od dawna w te i nazad w tysiącach opowiadań nicowali. Ale może nie ma co wybrzydząć. Może cieszyć się trzeba z wysiłku, jaki Tokarczuk włożyła w napisanie tego, o czym miłośnik fantastyki wie w wieku lat dwunastu. Nieporadne to jeszcze, chybotałiwe i nieśmiałe, ale – cieszę się jako redaktor „NF” i myślę, że Wy się cieszyć – jest! Raczkujać to jeszcze, ale jaka ulga, że pisarka tak otraskana, tak przez wielu fetowana i w sumie sympatyczna wpadła na pomysł jakże miły sercu każdego fantasty. I tylko gdzieś w zakamarkach mojego umysłu idea: zróbmy zrzutkę na Olgę Tokarczuk. Zbierzmy dla niej i innych pisarzy z mainstreamu trochę książek: Lema, Strugackich, Asimova czy Dicka – niechby zerknęli, może coś jeszcze ciekawego wymyślą. Może nawet odkryją fantasy?

Jakub Winiarski

PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 DZIECI GORSZEGO POPU *Jakub Ćwiek*
- 4 STARCIE KRÓLÓW *Jerzy Rzymowski*
- 8 CZY TO PODCHWYTLIWE PYTANIE? *z sir Terryem Pratchettem rozmawia Neil Gaiman*
- 10 SAMOTNOŚĆ WIELOKOMÓRKOWCA *Wawrzyniec Podrzućki*
- 12 FANI NA RATUNEK! *Marek Grzywacz*
- 14 NIEBEZPIECZNE ZABAWY Z LOKIM *Artur Szrejter*
- 63 RADY DLA PISZĄCYCH, odc. 5 *Michael J. Sullivan*
- 72 CELOWE POSTARZANIE IDEI *Rafał Kosik*
- 73 MŁOTOGŁOWI *Peter Watts*
- 78 MIŁOŚĆ W SCHRONIE PRZECIWBURZOWYM *Lukasz Orbitowski*

PROZA POLSKA

- 17 ŚWIADECTWO (LIVE) *Jakub Ćwiek*
- 20 STRZELEC *Bartosz Działoszyński*
- 25 OGIEŃ I LÓD *Ewelina Kozik*
- 30 ROMANTYCZNOŚĆ *Zbigniew Wojnarowski*

PROZA ZAGRANICZNA

- 44 ZAPISANE W WĘZŁACH *Ken Liu*
- 50 KWIAT, LITOŚĆ, IGŁA, ŁAŃCUCH *Yoon Ha Lee*
- 53 PIERŚCIEŃ VERTHANDIEGO *Ian McDonald*
- 59 ISKRY WZLATYWAŁY KU GÓRZE *Lisa Morton*

RECENZJE

- 65 KSIĄŻKI 74 FILM 75 DVD 76 KOMIKS 77 TV

W następnym numerze:

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI
SĄD OSTATECZNY: UCIECZKA
ALASTAIR REYNOLDS
KWIATY MINLI

CZAS FANTASTYKI 2/2012 OD 16 MAJA
FANTASTYKA WYDANIE SPECJALNE 2/2012
OD 18 KWIETNIA



Wiosenne porządki

Miesiąc temu zapowiedzi musiały się trochę ścisnąć, więc pomyślałem, że dam Wam w zamian więcej tekstu, a mniej ilustracji. Zmiana, choć podyktowana koniecznością, została dobrze przyjęta. Cieszy mnie Wasza reakcja, bo oznacza, że ludzie jednak chcą czytać, a artykuł prasowy może być czymś więcej niż garścią efektywnych obrazków z doczepionymi dla zachowania pozorów paroma zdaniami. I chociaż w „NF” dbamy o atrakcyjną formę, to treść stoi na pierwszym miejscu. Wygląda na to, że nowa formuła się utrzyma.

Ale do rzeczy. Dwa miesiące temu roztrząsałem kwestię polskich tłumaczeń tytułów. Życie dostarczyło nowy wątek: w kwietniu ukaże się powieść Michaela Crichtona zatytułowana oryginalnie „Prey” (czyli „ofiara”). Jak to przełożono na polski? „Predator”? Mówimy o książce mistrza technothrillera – wydani w naszej serii „Następcy” E. Lerner, również o nanotechnologicznym zagrożeniu, byli nawet reklamowani jako powieść dla fanów Crichtona. Ale choćby nie wiem jak dobra się okazała, pozostaje pytanie: co strzeliło do głowy osobie, która zdecydowała się na taki, przecież nawet nie polski tytuł? Cóż, dobrze chociaż, że nie „Forfiter”...

Miłośnicy „Malażańskiej Księgi Poległych” Stevena Eriksona czekają z niecierpliwością na „Okaleczonego boga” – finał epickiego cyklu. Autor zapowiedział w wywiadzie udzielonym „NF”, że nie oznacza to definitywnego rozstania z uniwersum. Fanów, którzy pamiętają znakomitą „Trylogię Zimnego Ognia” (jeśli ktoś nie zna – warto nadrobić!), ucieszy pierwszy tom nowej trylogii autorstwa C.S. Friedman, zatytułowany „Uczta dusz”.

Pojawi się też „Niuch” – kolejna powieść ze Świata Dysku. Przy jej okazji możemy Wam zaprezentować w numerze wywiad, jakiego Terry Pratchett udzielił Neilowi Gaimanowi. Na ich wspólnej książce, „Dobrym omenie” (trwają prace nad miniserialem na jej podstawie, ze scenariuszem Terry’ego Jonesa), mam autografy obu autorów z dedykacjami. Pratchett napisał: *Spal tę książkę*, a kilka lat później Gaiman dorysował strzałkę do rogu kartki i dodał: *Tu przystaw Świętą Zapalkę*. Ozdoba moich zbiorów.

Do kina warto będzie wybrać się na nową animację Aardmana „Piraci!”. A z kolei „BattleShip: Bitwa o Ziemię” (tak, polski podtytuł pokrywa się z obciachową ekranizacją prozy Hubbarda) może się okazać niezłym kuriozum. Oto film SF zainspirowany... grą w statki. W obsadzie m.in. Liam Neeson, Alex Skarsgård i Rihanna.

W komiksach dwie ważne premiery: „Wyrok walkirii”, czyli drugi tom przygód Kriss de Valnor i „Synowie Imperium” – najnowsza odsłona „Baśni” Billa Willingham. A od 2 kwietnia w HBO drugi sezon „Gry o Tron” – ale to chyba widać w całym kwietniowym numerze „NF”.

Jerzy Rzymowski

ZAPOWIEDZI

KSIĄŻKI



Bradbury Ray
„451° Fahrenheit”
– wznowienie
ponadczasowego
klasyka SF.



Friedman C.S.
„Uczta dusz”
– pierwszy
tom trylogii
„Magistrowie”.

FILM



„Piraci!”
– ze studia, które
stworzyło
Wallacea i Gromita.

KOMIKS



De Vita Giulio,
Sente Yves
„Wyrok Walkirii”
– kolejny epizod
z życia
Kriss de Valnor.

 **STRAŻ NOCNA
CIĘ POTRZEBUJE!**

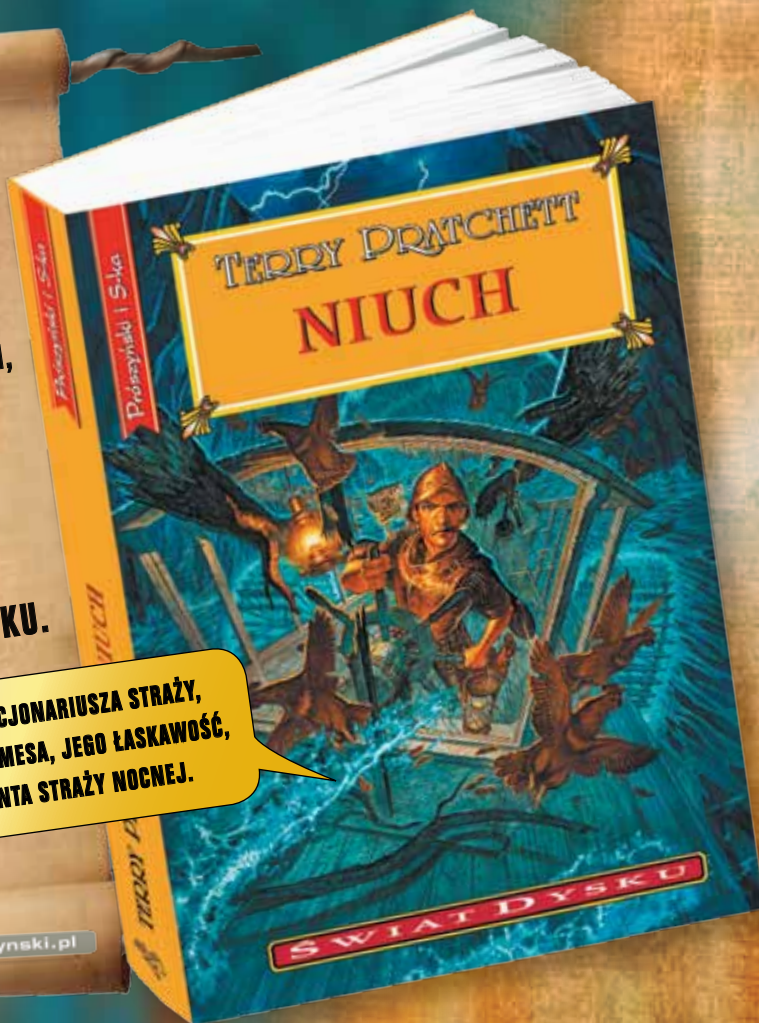
**JUŻ DZIŚ ZASIL SZEREGI DZIELNYCH MEŻCZYŹN,
KOBIEĆ I LUDZKICH INACZEJ, STRZEGĄCYCH
PORZĄDKU ULIC ANKH-MORPORK.**

NABÓR RUSZA 10 KWIETNIA!

**NIE PRZEGAP OKAZJI,
BY STAĆ SIĘ BOHATEREM ŚWIATA DYSKU.**

**DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ O REALIACH PRACY FUNKCJONARIUSZA STRAŻY,
PRZYBLIŻONYCH PRZEZ SAMEGO SIR SAMUELA VIMESA, JEGO ŁASKAWOŚĆ,
JEGO EKSCYLENCJĘ DIUKA ANKH, KOMENDANTA STRAŻY NOCNEJ.**

NAJTANIEJ WYCZARUJESZ NA ksiegarnia.proszynski.pl





PO ŚMIERCI ROBERTA BARATHEONA NA ŻELAZNYM TRONIE ZASIADA MŁODY JOFFREY. JEGO PRAWA DO KORONY SĄ PODWAŻANE, A EGZEKUCJA NEDA STARKA DOPROWADZA DO BUNTU PÓŁNOCY. ROSZCZENIA DO TRONU WESTEROS ZGŁASZAJĄ KOLEJNI KANDYDACI. W DRUGIM SEZONIE „GRY O TRON” CZEKA NAS...

STARCIE KRÓLÓW

JERZY RZYMOWSKI



Pierwszy sezon serialu HBO „Gra o Tron” był jednym z najważniejszych wydażeń 2011 roku w fantastyce. Długo wyczekiwana ekranizacja cyklu George’a R.R. Martina „Pieśń Lodu i Ognia”, mimo drobnych zastrzeżeń (patrz: recenzja pierwszego sezonu na str.) spełniła pokładane przez fanów nadzieje i zapewniła powieściom nową falę wiernych czytelników. Serial został nagrodzony dwiema Emmy i jedenastoma dalszymi nominacjami do tej nagrody, nazywanej „telewizyjnymi Oskarami”. Przyniósł też zastużoną sławę Peterowi Dinklage’owi, wcielającemu się w Tyriona Lannistera – za tę rolę zdobył on Emmy, Złoty Glob, nagrodę dziennikarzy Satellite i fantastyczną nagrodę Scream.

Ale przecież to dopiero początek sagi i teraz twórcy serialu będą musieli przeskończyć wysoko zawieszoną poprzeczkę. Czy sprostać wyzwaniu? Czego możemy się spodziewać po drugim sezonie?

Uwaga: dalsza część artykułu może zawierać drobne spoilery!

WOJNA PIĘCIU KRÓLÓW

Zgodnie z oczekiwaniami, nowa odłona „Gry o Tron” obejmie wydarzenia opisane w tomie „Starcie królów”. Decyzję o kręceniu drugiego sezonu podjęto zaledwie dwa dni po premierze pilotowego odcinka serialu, co dobitnie świadczy o sukcesie. Dość wcześnie fanów zaskoczyła informacja, że podobnie jak pierwszy, będzie liczył dziesięć odcinków. Biorąc pod uwagę,

że druga powieść jest znacznie dłuższa, pojawiło się pytanie, które wątki wypadną lub zostaną okrojone w scenariuszach. Już teraz Martin zapowiada, że nie wyobraża sobie, żeby kolejne, jeszcze dłuższe tomy cyklu dało się nakręcić inaczej niż poświęcając na każdy po dwa sezony serialu (inna sprawa, że ich produkcja, ze względu na podział wątków między kolejne tomy, może być dla scenarzystów jeszcze bardziej karkołomnym wyzwaniem). Światowa premiera otwierającego sezon odcinka „The North Remembers” będzie miała miejsce 1 kwietnia, w Polsce obejrzymy go zaledwie dzień później.

Skąd nazwa „Wojna Pięciu Królów”? Pierwszym jest **Joffrey Baratheon**, który zasiadł na Żelaznym Tronie po śmierci Roberta. Wieść o tym, że nie jest synem króla, lecz owocem kazirodczego związku królowej Cersei i jej brata, rozeszła się jednak i nie pozostała bez echa. W tych okolicznościach roszczenia do tronu zgłosił brat Roberta, **Stannis**. Niezależnie od niego, królewskie ambicje ma również najmłodszy z braci, **Renly**, który zbiegł ze stolicy i zawarł sojusz z bogatym i potężnym rodem Tyrellów z Wysogrodu. Renly nie ma praw do korony, lecz cieszy się większą popularnością – tym bardziej, że Stannis wprowadza na ziemiach Westeros nową, egzotyczną religię. Czwartym uczestnikiem konfliktu jest **Robb Stark**, po śmierci ojca obwołany przez wasali Królem Północy. Na północne tereny Siedmiu Królestw ma też chrapkę nowy, piąty gracz: **Balon**

Greyjoy. Korzystając z chaosu w kraju, pragnie oderwać rządzone przez siebie Żelazne Wyspy od reszty królestwa i przy okazji zagarnąć i złupić tyle, ile się da z pozostałej części. To zresztą nie pierwszy bunt tego lorda – właśnie w wyniku poprzedniego syn Balona, Theon, został zakładnikiem i wychowankiem Neda Starka w Winterfell.

NOWE MIEJSCA, NOWE TWARZE

Drugi sezon „Gry o Tron” kręcony jest z jeszcze większym rozmachem niż pierwszy. Ekipa filmowa powróciła do Islandii, gdzie powstają sceny z Murem i Nocną Strażą. Królewska Przystań, stolica Westeros przeprowadziła się z Malty do Dubrownika. Również w okolicy miasta stworzono plany zdjęciowe do wątku Daenerys, która trafia do egzotycznego Qarthu. Chorwackie zabytkowe budowle i piękno krajobrazów zachwyciły ekipę. Z kolei Irlandia Północna, chociaż nie mniej piękna, dała się wszystkim we znaki deszczową pogodą. W okolicach Belfastu kręcono zarówno wydarzenia rozgrywane się na Północy, jak te z udziałem Stannisa, na Smoczjej Skale, oraz sceny z Żelaznych Wysp rządzonych przez ród Greyjoyów.

Jak poprzednio, miłośnicy cyklu prześcigali się w typowaniu osób najchętniej widzianych w rolach nowych postaci, które wkraczą na scenę w „Starcu królów”. Forum serwisu Westeros.org wręcz kipiało od dyskusji i spekulacji. Do roli Stannisa



CZY TO PODCHWYTLIWE PYTANIE?

Z SIR TERRYM PRATCHETTEM ROZMAWIA NEIL GAIMAN

Neil Gaiman: Jaka jest geneza pomysłu na „Niuch”?

Terry Pratchett: Nie mam pojęcia. Sądzę, że zaczęło się od rozważań nad postacią sir Samuela Vimesa, nad tym, kim teraz jest. A ponieważ uważałem, że jego wewnętrzny monolog jest interesujący, postanowiłem użyć sprawdzonego schematu fabularnego, w którym policjant wybiera się na wakacje, by się odprężyć. Wszyscy wiemy, jak kończą się tego typu historie. Wtedy uświadomiłem sobie, że przeniesienie Vimesa z miasta, poza znaną mu strefę, będzie niezwykle przyjemne do opisanie.

NG: Straż mnie fascynuje. Opisziesz bezwzględnych policyjnych formalistów, jednocześnie jednak wciąż są to zabawne, mądre książki, których akcja rozgrywa się w fantastycznym świecie.

TP: Tak naprawdę, panie Gaiman, świat, do którego trafia Sam Vimes trudno określić mianem fantastycznego. Tak, są tam gobliny, ale ogólny klimat przywodzi na myśl hrabstwa w środkowej Anglii. To kwestia pospolicności ludzi. Postaw Vimesa w sytuacji, która rozwinie się w zły sposób, a zacznie działać realistycznie jak każdy inny policjant, rozumując w ten sam sposób. Pozostając jednocześnie Samem Vimesem, który podaje w wątpliwość swoje motywacje i policyjne procedury.

NG: Co było inspiracją dla Sama Vimesa? Jak prawdziwi policjanci zareagowali na tę postać i na Straż?

TP: W gabinecie mam trzy policyjne hełmy – prezenty od funkcjonariuszy, którzy są fanami Vimesa. Gdy jeździłem w trasie promujące książki, w księgarniach pojawiali się policjanci. Nigdy nie wchodzili przez główne wejście, zawsze przez to dla personelu, skinąwszy głową w stronę kierownika, po tym, jak kolejka po autografy się kończyła. I to, co do mnie

mówili było tak przewidywalne, że mógłbym mówić to za nich. Rzucali uwagi typu: Och, tak, [zjadliwy śmiech] zdecydowanie znalazłby się u nas Nobby Nobbs, a każdy posterunek ma swojego sierżanta Colona. Policjant, który mi to powiedział, sam wyraźnie był takim sierżantem Colonem. Znam wielu gliniarzy, miałem z nimi do czynienia, gdy pracowałem jako dziennikarz. Łatwo się o nich pisze; zachowują się zgodnie z utartymi schematami.

NG: To prawda, że w poprzednim wywiadzie powiedziałeś, że chciałbyś być jak Sam Vimes? Dlaczego?

TP: Nie wydaje mi się, że bym powiedział coś takiego. Ale wiesz, jak jest, a „jak jest” zmienia się, gdy się starzejemy. Autor zawsze może zagłębić się we własną osobowość i znaleźć aspekty siebie, w które może następnie ubrać wykreowane postacie. Odkąd zacząłem mówić o moim Alzheimerze, stałem się osobą publiczną; dwukrotnie byłem gościem na Downing Street, pisałem gniewne listy do „Timesa”, debatowałem w Izbie Gmin i do tego stopnia stałem się starym przykiem, że czasami siedzę skonsternowany i myślę: Tak naprawdę twoja praca polega na pisaniu kolejnej książki. *Zmieniane światła jest zadaniem dla innych...* Ale potem dochodzę do wniosku: Nie, nie jest! Tak więc, mając w pamięci fakt, że do dziecka z domu komunalnego ludzie obecnie zwracają się per „sir”, mogę wykreować obraz mentalny Vimesa.

NG: Gdy na czas pisania wcielasz się w Vimesa, widzisz jakąś różnicę w postrzeganiu świata, w porównaniu do tego, jak on wygląda, gdy piszesz z perspektywy Rincewinda czy Babci Weatherwax?

TP: Och tak, na pewno wiesz, jak to jest. Gdy już dana postać siedzi w twojej głowie, wystarczy, że pozwolisz jej żyć własnym życiem i zaczniesz opisywać, co robi, mówi czy myśli.

To naprawdę tak działa. To balansowanie na granicy dziwactwa: wiesz, że to ty myślisz, ale myślenie jest napędzane przez moduł Sama Vimesa. Istnieje także w pełni funkcjonalny moduł Tiffany Obolalej, co jest dość dziwne.

NG: Na pewno masz wśród swoich książek jakichś dziwnych faworytów – pozycje, dla których twoja sympatia mogłaby wydać się innym niezrozumiała. Mógłbyś wybrać takich ulubieńców? Czy chciałbyś wskazać ludziom jakieś swoje książki, które bez tego mogliby przegapić?

TP: To dobre pytanie, ale odpowiedź jest trudna. Bardzo przyjemnie pisało mi się „Potworny regiment”, który pod pewnym względem jest bardzo bliski głównemu nurtowi. Po minimalnych zmianach akcja mogłaby się rozgrywać w czasie wojen o niepodległość Hiszpanii na początku XIX wieku. Obaj wiemy, że czasami, zbierając materiały do jednego projektu, nieświadomie robimy research do innego. Na przykład w trakcie zwykłego czytania książek na interesujący nas temat. To niesamowite, jak te wszystkie drobniaczki, o których czytasz w książkach z drugiej ręki, nagle przychodzą ci do głowy i składają się na fabułę. W gruncie rzeczy, pracując nad „Potwornym regimentem” sporo czasu spędziłem w księgarniach dla lesbijek.

NG: Czy są jakieś postacie ze Świata Dysku, do których planowałeś powrócić, ale jeszcze tego nie zrobiłeś?

TP: Gdzieś w mojej głowie siedzi pomysł na fabułę, której bohaterem jest Złowrogi Harry Lęk, niekoniecznie będący współczesną wersją Saurona... Ale powiedzenie tego uświadomiło mi, że powinienem jeszcze nad tym pracować.

NG: W artykule o pisaniu z „The New York Timesa” Carl Hiaasen – autor, którego poleciłeś mi w czasie promocji „Dobrego omeu” – stwierdził: Każdy pisarz gdzie indziej

SAMOTNOŚĆ WIELOKOMÓRKOWCA

WAWRZYNIEC PODRZUCKI

„ODKRYTO KOLEJNĄ PLANETĘ PODOBNĄ DO ZIEMI” – TO NAGŁÓWEK WIDZIANY W MEDIACH JUŻ NIERAZ. DZIŚ PRAWIE NIKT NIE PYTA, CZY ŻYCIE POZAZIEMSKIE ISTNIEJE, TYLKO KIEDY JE ZNAJDZIEMY.

Odkryto kolejną planetę podobną do Ziemi” – to nagłówek widziany w mediach już nieraz. Według ostatnich danych, które uaktualniane są praktycznie codziennie, skatalogowanych obcych globów uzbierało się już blisko tysiąc, a kilka tysięcy następnych czeka na potwierdzenie. To jednak tylko mikroskopijny ułamek, szacuje się bowiem, że wszystkich planet Drogi Mlecznej może być od stu do dwustu miliardów. Jeżeli sytuacja będzie się rozwijać w takim tempie, to niebawem na Times Square obok słynnego zegara długu publicznego może zawisnąć kolejny, tym razem wyświetlający liczbę odkrytych planet pozastoniecznych. Wobec takiej obfitości i różnorodności planetarnych środowisk, pogląd, że Ziemia ze swoją skomplikowaną biosferą może być kosmicznym unikatem, wydaje się obecnie wręcz absurdalny. Dziś już prawie nikt nie pyta, czy życie pozaziemskie istnieje, tylko kiedy je znajdziemy. Za rok? Za dziesięć lat, dwadzieścia?

GDZIE SĄ CI OBCY?

Do niedawna mogliśmy co najwyżej domniemywać, że Galaktyka roi się od światów, od potencjalnych siedlisk ożywionej materii. Teraz teleskop Keplera dostarcza nam na to dowodów każdego dnia. Ale i sprawia, że pewien znany paradoks staje się jeszcze bardziej paradoksalny. Słynne pytanie „gdzie ONI są” Enrico Fermiego to dla wielu kwestia z tych równie niepoważnych, co roztrząsanie, ile aniołów mogłoby się zmieścić na główce od szpilki. Dlaczego miałyby nas to w ogóle obchodzić? Przede wszystkim dlatego, że *Silentium Universi* jest

sprzeczne z zasadą kopernikańską, według której w skali całego kosmosu nie ma żadnych bytów wyjątkowych w swym rodzaju. To jeden z filarów współczesnej nauki i jeśli pięknie, cały gmach może runąć.

WSZECHŚWIAT JEDNAK MILCZY

A najbardziej prawdopodobnym tego wytłumaczeniem jest to, które zarazem wydaje się najtrudniejsze do przyjęcia – że żadnej innej technicznie zaawansowanej cywilizacji poza naszą w kosmosie po prostu nie ma. Nie ma i co więcej, nigdy wcześniej nie było. Sam się ku takiemu wytłumaczeniu ostatnio skłaniam i nie jestem w tym odosobniony. Gdyby jednak ta interpretacja okazała się prawdziwa, byłaby nie mniej szokująca niż stwierdzenie, że Ziemia naprawdę jest płaska.

Hipoteza jedynej Ziemi – czyli miejsca, które jest, jakie jest dzięki nadzwyczajnemu splotowi szczęśliwych przypadków – nie jest niczym nowym, bo została zaproponowana w 2000 roku przez Petera Warda i Donalda E. Brownlee. Jeszcze wcześniej, bo w roku 1986 niemal identyczną tezę przedstawił w jednym ze swych esejów Stanisław Lem. Najświeższą jej inkarnację znajdziemy w książce Johna Gribbina „Alone in the Universe: Why Our Planet Is Unique” (Wiley, 2011).

Krytyków takiego antykopernikańskiego stanowiska było naturalnie od samego początku mnóstwo, a dziś, w atmosferze egzoplanetarniej euforii, słychać ich jeszcze głośniejsze. Że to nie jest żadna hipoteza ani tym bardziej teoria, tylko tendencyjne dopasowywanie faktów do danego światopoglądu. Że to myślenie „zaściankowe

i średniowieczne”. Że nie bierze w ogóle pod uwagę innych możliwych dróg rozwojowych, ani innych biologii niż rodzima. Że nawet o początkach życia na naszym globie wiemy wciąż zbyt mało (a praktycznie nic), by móc wyciągać jakieś generalne wnioski co do sposobu, warunków oraz prawdopodobieństwa jego powstania gdzie indziej.

Wszystkie te argumenty rozumiem i przyznaję, że do niedawna sam myślałem tak, jak Seth Shostak, kierownik programu SETI, który powiedział, że byłoby cudem (czytaj: czymś z naukowego punktu widzenia nieakceptowalnym), gdybyśmy ICH nie znaleźli. Zapomniał tylko dodać „i vice versa”, bo opierając się na takiej logice, jest czymś dokładnie tak samo „cudownym”, że ONI jak dotąd nie znaleźli nas.

Thomas Hair, matematyk z Florida Gulf Coast University obliczył, że nawet przy bardzo konserwatywnych założeniach (np. tempo podróży nieprzekraczające 1% prędkości światła), opanowanie całej Galaktyki zajęłoby cywilizacji o zbliżonym do naszego poziomie rozwoju góra 50 milionów lat. Gdy się to porówna z wiekiem najstarszych gwiazd i jeszcze uwzględni ich liczbę, w samej Drodze Mlecznej idącą w dziesiątki miliardów, wniosek nasuwa się w zasadzie jeden: obcy powinni tu być już od eonów. Skoro zaś nie ma ich tutaj, to najprawdopodobniej nie ma ich wcale. Wytłumaczenia alternatywne – że nas jak do tej pory nie zauważyli (choćby my, nawet posługując się obecną technologią, zauważylibyśmy ślady ich działalności bez większego trudu), że nas ignorują (jakkolwiek my ich istnienia nie moglibyśmy zignorować), że w swych kosmicznych wę-



Kampania "Obnaż tyłek dla Carsona".

NIKT NIE TRZYMA NA ANTENIE SERIALI,
BO MA DO NICH SŁABOŚĆ. LICZA SIĘ WYNIKI.
A GO, GDY STANIE SIĘ NAJGORSZE?
WTEDY DO AKCJI WKRAZAJĄ FANI.



MAREK GRZYWACZ

FANI NA RATUNEK!



Seriele fantastyczne często kończą żywot za szybko, co nie znaczy, że nikt nie próbuje temu zapobiec. Protesty wiernych fanów szczytują się długą tradycją. Gdy w 1968 „Star Trek” miał nie wrócić na trzeci sezon, nastąpiła pełna mobilizacja. Szeroko zakrojona akcja pisania listów i pikiety studentów uczelni Caltech przed siedzibą NBC poskutkowały. Trekkerzy mają zresztą smykałkę do udanych interwencji: zdołali, śląc listy do prezydenta USA, doprowadzić do przemianowania promu kosmicznego „Constitution” na „Enterprise”. Jednak przez dekady sporo się zmieniło. Każdy wie, że listy i petycje idą do kosza. Potrzeba bardziej brawurowych sposobów.

ZASYPMY ICH... PRODUKTAMI SPOŻYWCZYMI

Moda narodziła się niewinnie. Pamiętacie „Roswell”, serial o nastoletnich Obcych? Gdy postanowiono go zdjąć, fani wymyślili oryginalny sposób na odwiedzenie Warner Bros. od tego zamiaru. Sięgnięto po sos tabasco, którym bohaterowie obficie doprawiali potrawy. Do siedziby WB TV wysłano tysiące buteleczek specjału. Podziątało. Ostra kampania pomogła też wobec stacji UPN, która przejęła skasowany serial. Pomysł nie doczekałby się

jednak naśladowców, gdyby nie postapokaliptyczne „Jericho”, od startu borykające się z niezadowolającą oglądalnością. Gdy jeden z bohaterów skomentował finał sezonu słowem nuts, fani wiedzieli co robić. Kampania „Wysyłaj ORZECZY” przyniosła efekt w postaci dwu-

dziestu ton orzeszków ziemnych

zalegających w siedzibie CBS. Decydentów tak to zadziwiło, że zamówili dodatkowe odcinki, a nagłośniona akcja stała się nagminnie kopiowanym wzorem. Wysyłano słodycze (np. batony Mars w wypadku „Veronica Mars”), udka kurczące („Akta Dresdena”), nasiona słonecznika („4400”) czy anchois („Futurama”). I nie tylko jedzenie – na przykład miłośnicy „Żniwiarza” stali... skarpety, ze względu na ksywę „Sock” jednego z bohaterów, Berta Wysockiego.

Zdarzały się też gafy. Fani „Niewidzialnego Człowieka” Sci-Fi Channel wymyślili, że będą ratować go wysyłką opakowań popularnego napoju Kool-Aid. W czym problem? Kool-Aid sprzedaje się w formie proszku, a start akcji pokrył się ze szczytem wąglikowej paranoi w USA. Dodajmy, że choć kampanii tego typu jest najwięcej, po „Jericho” żadna nie odniosła znaczącego sukcesu.

NIEUSTANNIE SZUKAJĄC POMYSŁÓW

Aby działać skutecznie, trzeba wyjść do ludzi. Dobrym narzędziem jest flash mob, czyli zebranie się w publicznym miejscu tłumku robiącego coś niespodziewanego. Miłośnicy „FlashForward” zjawili się w centralnych punktach kilku miast i padli jednocześnie na ziemię, naśladując zawiązanie

intrygi serialu – ogólnoswiatowe omdlenie, podczas którego ludzkość widziała urywki przyszłości. Uczestnicy kampanii na rzecz komediowego „Community” przyprowadzili sobie kozie bródki z czarnego papieru. Nawiązywali do odcinka z tzw. najmroczniejszą linią czasową, w której Abed i Troy, ulubieńcy widzów, postanowili zmienić się w Złego Troya i Złego Abeda poprzez założenie takich bród, na wzór alternatywnego Spocka z epizodu „Star Trek’a” o Lustrzanym Wszczęściwie.

Rubasznej taktyki użyli fani „Gwiezdne wrota: Atlantyda”, domagający się powrotu aktora Paula McGillona, czyli uśmierconego przez scenarzystów szkockiego lekarza Carsona Becketta. W akcji „Obnaż tyłek dla Carsona” sympatycy wrzucali na YouTube filmiki, w których pokazywali bieliznę lub pośladki ozdobione hasłami kampanii. Podczas większych wydarzeń wypinaniu się akompaniowali szkoccy kobziarze. Dość powiedzieć, że dr Beckett (w nieco innej postaci) pojawiał się regularnie aż do końca serialu. To jednak nic w porównaniu z pomysłem brytyjskich fanów, niepodogzanych ze śmiercią Ianto Jonesa z „Torchwood”. U brzegu Zatoki Cardiff, gdzie mieści się siedziba serialowej organizacji, powstała prawdziwa ściana płaczu obwieszona żałobnymi wyznaniem, zdjęciami postaci i prośbami o jej wskrzeszenie.

Czasem, w szlachetnym geście, agitkę łączy się z pomocą bliźnim. W ramach ratowania przygód wampira-detektywa z „Pod osłoną nocy” po kraju jeździł krwio-bus. Grający wampira Alex O'Loughlin tak dał się porwać szczytnej idei, że został rzecznikiem Czerwonego Krzyża. Z kolei miłośnicy „Miecza Prawdy”, walczący o trzeci sezon, zasilali fundusz ONZ, wspierający ofiary przemocy wobec kobiet (w uniwersum Terry'ego Goodkinda roi się od takich tragedii).



ARTUR SZREJTER

NIEBEZPIECZNE ZABAWY Z LOKIM

WKRÓTCE NA EKRANACH KIN POJAWI SIĘ
„AVENGERS 3D”. ISTOTNĄ ROLĘ W TEJ HISTORII
ODGRYWA LOKI, POSTAĆ I STRASZNA, I ŚMIESZNA.
KIM BYŁ LOKI W DAWNYCH GERMAŃSKICH MITACH?

Autorzy fantastyki chętnie piszą o Lokim, gdyż jest bohaterem niejednoznacznym. Z kolei czytelnicy go lubią, bo czują, że po bogu ognia można spodziewać się wszystkiego. Nie wiadomo, czy za chwilę kogoś uratuje, ośmieszy, czy zabije. Nie jest ani do końca dobry, ani zły, jednocześnie wyzwala pokłady wściekłości i sympatii. I dlatego można się identyfikować z tym tak ludzkim bogiem. Dlatego jest kochany i nienawidzony od co najmniej tysiąca lat. Od czasów, kiedy był jedną z najistotniejszych postaci mitologii germańskiej. A potem został bohaterem baśni i w końcu zaanektowała go fantastyka.

Choć występuje w większości ważniejszych mitów skandynawskich, Loki nie jest bogiem tak znanym jak jednooki Odyn czy władca piorunów Thor. Pozornie wydaje się postacią z tła, lecz w rzeczywistości jest szarą eminencją Asgardu, krainy niebian. Często to on myślał za wszystkich innych bogów i podsuwał im najlepsze pomysły. Z drugiej strony, jako antybohater okazuje się prawdziwym demonom zagłady.

Loki był jednym z Olbrzymów Ognia, pochodził z rodu ich władców, a jego bratem był Surtr, król Płomiennych Olbrzymów. Stąd też najczęściej ukazuje się Lokiego jako osobnika o rudych włosach. Jako przedstawiciela rasy wrogiej niebianom, większość bogów nie cierpiała go, nawet po tym, jak został przyjęty do grona Asów. Za to boginie namiętnie się w nim durzyły i uważały za ide-

alnego kochanka. Spośród niebian tylko Odyn zawsze bronił Lokiego, nawet gdy ten dopuszczał się czynów karygodnych. Najważniejszy z Asów był wyrozumiały dla olbrzyma, gdyż na początku istnienia świata zawarli ze sobą braterstwo krwi. Dlaczego jednak mity opisują Lokiego jako brata i przyjaciela Odyna? O tym za moment.

STWORZycIEL I BOHATER

Nie kto inny jak Loki wpadł na znakomity – z naszego punktu widzenia – pomysł stworzenia ludzi. On też obdarzył ich dwoma z czterech darów czyniących z kawałków drewna istoty myślące. Później, również za radą Lokiego, bogowie wynajęli olbrzyma-kamieniarza, by otoczył Asgard nowymi murami obronnymi, a potem, gdy budowniczy zażądał wygórowanej zapłaty, bóg ognia doprowadził do pokonania chciwego giganta. Innym razem Loki wykradł potworom Stońce i Księżyc, aby mogły świecić na niebie, dzięki czemu świat nie jest pogrążony w ciemnościach. Także on dzielnie wspierał Thora podczas wyprawy do Utgardu, krainy najsilniejszych Olbrzymów Skalnych. Jednym z jego głupich żartów było ogolenie na tyso słynącej z pięknych włosów bogini Sif, ale – w ramach rekompensaty – zdobył dla bogów niezwykle wytwory rąk krasnoludów, między innymi przedmioty tak ważne, jak Mjöllnir – bojowy młot Thora, czy włócznia Gungnir – ulubioną broń Odyna. Później, gdy młot Thora został skradziony przez władającego magią olbrzyma Thryma, to dzięki sprytowi Lokiego broń odzyskano. Loki wynalazł sieć, bez której ludzie nie mogliby łowić ryb. Jego też uważa się (choć mit o tym wydarzeniu się nie zachował) za Prometeusza dalekiej Północy – miał dać ludziom ogień, dlatego śmiertelnicy, w obliczu zagrożenia przez demony i potwory, zwracali się właśnie do niego, by pomógł im poprzez magię ognia.

SWIADECTWO (LIVE)

Jakub Ćwiek

No dobra, trochę zjebaliśmy.

Znaczy, tak naprawdę to Adaś dokurwił, czytając to cholerstwo na koncercie, ale kto by przypuszczał, że akurat ta księga okaże się prawdziwa i działająca? I że wyryczy to wszystko z odpowiednim akcentem? Bo że akcent też się liczy, to wiem. Jęłop nie jestem, oglądałem klasykę.

Nie, nie mam pojęcia, gdzie on to znalazł ani kiedy, on już taki jest, ten Adaś, zapierdala po antykwariatach i kupuje książek na tony, potem wala się to wszędzie w autokarze, ale on nie pozwala wyjechać. Że niby ważne, że inspiracje czerpie do tekstów. Serio, kurwa, wiosłuję z nim z dziesięć lat, nagrałem cztery płyty, a słowa bym nie zrozumiał, gdyby mi wcześniej tekstów pod nos nie podsunął. No ale dobra, niech będzie, że się inspirował Dostojewskim.

W każdym razie kiedyś przynosi – książka stara i pomarszczona, jak kurwa za ćwiartkę Wyborowej, tytuł zamazany, autor to jakiś Arab. Pytam, co zamierza z tym zrobić, a on, że przeczytać na koncercie i – zawczasu, zanim się odezwę – żebym stulił ryj, bo się nie znam. To mówię:

– Stary, co ty tam czytasz, to twoja sprawa, byleby mnie w przyszłym miesiącu po sądach nie ciągli, bo wypierdalam na Bali.

A on, że luz, że tu się nie ma kto obrażać, a może być fajnie. No i było.

Po rogatym chuju.

...

Kto był na koncercie, ten wie jak to wygląda. Od publiki jak ciasny przedsiemek do piekła, ze sceny jak piekło w swej jebanej istocie. Siekam to wiosło, po plecach prosto w rowek dupy spływa Niagara potu, ryj śwędzi, ale się przecież nie podrapię, bo rozmażę. Więc łeb w dół i grzywą kręcę, niech choć na podłogę kapie albo wokoło, byle nie po szyi, bo nie zdzierzę.

Adaś charczy i nikt tam nie słyszy, że się jebie w riffach, jakaś ruda dziunia z pierwszego rzędu pokazuje małe cycki, jakby się miała czym chwalić, a ja tylko odliczam takty do solówki Drona. Nazywamy go tak, bo jak napierdala na tych bębnach, to jak automat. Taki, wiecie, bezałogowy. Chuj tam nieważne...

Trzy, dwa, jeden, solo. Adaś ma chwilę luzu – po Dronie, Himmler na basie, no i jeszcze ja – to podchodzi, bierze wodę i książkę z kolumny, pije i kartkuje.

Publika ryczy, wznosi ręce na cześć diabła i chuja tam, który wie, że Dio ten gest po babci odziedziczył, żeby diabły akurat odstraszać. Kotłują się w pogo, widać, że już pierwsza krew poszła, ale bankowo na tym się nie skończy. Zwłaszcza, że teraz moja kolej.

Nie jestem żadnym, kurwa, Slashem, ale umiem sprawić, że gitara zajęczy. Staję z przodu, noga na odsłuch, odchylam się do tyłu, wypycham biodra. Jak przy orgazmie, ale tu dopiero zaczynam, oczy przymknięte, palce śmigają same z siebie, szarpia, głaszczą, ciągną, kostka grzeje się w spoconych palcach.

Zerkam na publikę, a tam następne cycki. Te są dużo lepsze, w dodatku laska widać nieśmiała, pokazuje, bo inni tak robią, ale najchętniej zaraz schowa. Buzia pod czernią słodka i niewinna jak wiosna w Bieszczadach, żadnych tam kolczyków w brwiach czy sutkach, żadnych tatuaży. Ciekawe, czy powiedziała mamie, że idzie na koncert. Myślę też, czy po wszystkich będę miał jeszcze na nią siły, w sensie tak porządnie, bo na pół gwizdka to się nie oplaca. Człowiek musi dbać o markę.

Ale co tam, inwestuję w nią, robię językiem popisówkę Stanleya z Kissów, a potem ciskam kostką między te cycki. Koleś co ją trzyma na barana schyla się, tłum wokoło mało dziuni nie zgniata...

Tymczasem wraca Adaś, robię mu miejsce, a ten ryczy co ma ryczeć, ale nie gra, bo ma w ręce książkę. Widzę jego palec między pomarszczonymi stronami i mnie wzdryga – co poradzę, że wyobraźnia pracuje, a pierwsze skojarzenie siedzi, och jak siedzi – ale w sumie tam każdemu jego porno. Kończymy kawałek, więc gitara na stojak, a ja się idę napić.

Za kulisami stoi Marian, techniczny, i pyta, czy chcę bucha, to patrzę na niego jak na idiotę i biorę firkę. Myślę o małej i jej cyckach, chuj w gaciach uciska, a Adaś nawija, robi wstępniak, żeby na pewno każdy zrozumiał, że ma w tym całym czytaniu jakieś przesłanie, sens. Tak samo robił wtedy, gdy podarł Biblię i uważam, że to słusznie, że zwraca uwagę na różnorakie problemy z czytelnictwem. Jakiś minister powinien go za to nagrodzić, a nie tylko psy wieszać. Czy też koty raczej.

A potem zaczyna się gęste. Jedno zdanie, drugie, brzmi to wszystko, jakby kto miłość po niemiecku wyznawał, czyli takie, wiecie, coś pod chłopaków z Rammsteina, tylko ostrzej i bardziej charcząco. Publika najpierw siedzi cicho, potem coś mruczą, wreszcie, słowo kurwa daję, zaczynają recytować razem z naszym frontmanem.

Myślę: muszę to zobaczyć. Biorę ostatniego bucha i wracam na scenę. I to był ten moment, kiedy się zaczęło.

Przygasły światła i wałęsało dymem, wszystko zrobiło się czerwone i zaczęło sprzęgać. No to się wkurwiam, bo nie za to płacimy technicznemu, żeby wciągali kurwa zielsko, tylko mają pilnować, by był szatan kontrolowany i na pełnej profesce. Oglądam się na Himmlera i Drona i widzę to samo, znaczy WTF odmalowany na mordach i wkurw na maksa, ale Adasia jakby to nie obeszło. Dalej jedzie z tekstem, a publika razem z nim, jakby śpiewali nasz największy hicior.

Zerkam na publikę i kuuurwa!

Dupa od cycków zrobiła się cała czerwona, ale nie tak wiecie, spocona, tylko autentyczna indiańska czerwień. Oczy jej czernieją, spomiędzy włosów wyrastają rogi. Koleś, u którego siedzi na barana ma to samo, ale jemu do tego twarz pokrywa się jakąś łuską. Oboje ryczą jak pojebani i to już dawno nie są słowa czytane przez Adasia.

Chuj tam makijaż! Jadę ręką po gębie, przeklinając w duchu Mariana i jego zielsko, ale potem znowu zerkam na Himmlera

Strzelec

Bartosz Działoszyński

1. *Ashibumi* (Osadzenie Stóp)

W jednej ze scen *Mahabharaty* Drona umieścił na drzewie sztucznego ptaka i kazał swoim uczniom strzelać do niego z łuku tak, aby trafić go w oko. Pierwszy miał strzelać Judhisztira. Drona zapytał go najpierw, co widzi. Judhisztira odparł, że widzi swoich braci, Dronę, drzewo i ptaka. Drona kilkakrotnie zadawał to samo pytanie, a Judhisztira za każdym razem odpowiadał w taki sam sposób. Drona rozzłościł się i odesłał go na miejsce bez strzału. „I tak nie trafisz”, powiedział. Następny był Durjodhana. Znow to samo pytanie, odpowiedzi Durjodhany nie zadowalały Drony, mistrz odsyła ucznia na miejsce bez strzału. To samo spotkało wszystkich chłopców po kolei. Jako ostatni miał strzelać Ardżuna. Drona zapytał go: „Co widzisz?” Ardżuna odparł: „Widzę tylko ptaka. Nie widzę braci, ani ciebie, ani nawet drzewa”. Drona powiedział: „Skoro widzisz ptaka, opisz mi go”. Ardżuna powiedział: „Widzę tylko jego oko. Nie widzę reszty ciała”. Drona powiedział: „Strzelaj!” Ardżuna wypuścił strzałę i sztuczny ptak z przebitym okiem spadł na ziemię, koziołkując.

2. *Dozokuri* (Przyjęcie Pozycji Ciała)

Świat składa się ze zbyt wielu elementów. Dawniej Zenno chodził do parku, siadał na ławce i godzinami wpatrywał się w drzewa, a ściślej mówiąc w kolor ich liści. Słowo „zieleń” traciło sens. Uświadamiał sobie, jak wiele tracił i jak bardzo się mylił, wierząc w sens słowa „zieleń”. Który z tych kolorów był zielenią? Zieleń nie istniała; była iluzją prostaków zbyt ufających językowi. Zamiast jednej zieleni istniały tysiące, a może miliony różnych zieleni, zależnych od gatunku drzewa, oświetlenia, kąta padania promieni słonecznych, zachmurzenia, pory dnia i roku, kropli deszczu na liściach lub przeciwnie – od ich suchości. Początkowo Zenno starał się wszystkim odkrywanym przez siebie odcieniom nadawać nazwy, posługując się coraz bardziej wymyślnymi systematykami. Wkrótce jednak zabrakło mu nazw. Ostatnim jego pomysłem było wiązanie niuansów zieleni z chińskimi piktogramami, których znał kilka tysięcy. Ten system sprawdzał się bardzo dobrze, nie groziło mu rychle wyczerpanie, jednak wkrótce Zenno stwierdził, że wystarcza mu samo identyfikowanie odcieni liści; wiązanie ich z takimi lub innymi nazwami lub znakami było niepotrzebne. Rozpoczęła się epoka barw bezimiennych.

Ostatecznie doszedł do wniosku, że się pomylił. „Pięć barw czyni ludzi ślepyimi. Pięć dźwięków czyni ludzi głuchymi. Pięć smaków sprawia, że podniebienie ludziom

drętwieje”, powiedział Laozi. Choćby nie wiadomo jak długo pracował nad swoją wrażliwością, nigdy nie będzie w stanie dostrzec tylu niuansów zieleni, ile istnieje w przyrodzie, chociażby na liściach drzew jednego tylko parku. Droga pogłębiania wrażliwości jest drogą donikąd. Nie należy dodawać do świata nowych składników. Nawet świat tępego bydłęcia jest przeładowany pod względem wrażeń – co dopiero świat człowieka, który ma za sobą odpowiednie ćwiczenia duchowe. Nie należy pomnażać elementów świata, lecz eliminować je. Nie należy dążyć do rozróżnienia setek lub tysięcy niuansów zieleni odbijających się w miliardach liści. Należy skupić się na jednym liściu. W nim zawierają się wszystkie inne liście z tego drzewa, ze wszystkich drzew tego parku, ze wszystkich drzew tego gatunku i ze wszystkich innych gatunków, wszystkie liście rzeczywiste i możliwe, wszystkie możliwe odcienie zieleni. Wszystko będzie w jednym, o ile dzięki skupieniu punkt stanie się punktem, a nie rozmytą plamą.

Dokonawszy tego odkrycia, Zenno przestał dążyć do wrażliwości, a zaczął dążyć do skupienia.

3. *Yugamae* (Przygotowanie Łuku)

Ta historia nie ma początku ani końca. To nie jest jej prawdziwy początek, kiedy Zenno rozkłada koc, klęka na nim, wspiera się najpierw na lewym łokciu, potem na prawym, powoli dotyka brzuchem betonowego podłoża. To tylko pozór początku. Jestem w czymś, co nigdy się nie zaczęło. Jestem w czymś, co zaczęło się poza mną. Wskoczyłem do środka tej historii, która toczyła się już wcześniej beze mnie, a jednocześnie jest jak najbardziej moją historią, więc nie miała prawa zacząć się gdzie indziej niż we mnie. Może zaczęła się we mnie, tylko ja nic o tym nie wiem? Nie mam prawa wiedzieć. To zostało zakryte. Może zaczęła się owego czasu, kiedy za panowania cesarza Shuna pojawiło się na niebie dziesięć słońc. Ziemia stała się ostra jak poczucie humoru Nicka i sucha jak skóra Luisy. Nie było w niej ani kropli życia. Jedna wielka pustynia. Jałowe łono. Rozpalona pustka. Wtedy przyszedł boski łucznik Yi i dziewięcioma strzałami strącił z nieba dziewięć zbędnych słońc, nie chybiając ani razu. Spadające słońca zamieniały się w kruki. Chwała boskiemu łucznikowi Yi, który nigdy nie pudłuje! Być może początek zawiązał się właśnie owego czasu.

A może jeszcze kiedy indziej. Może historia zaczęła się owego czasu, kiedy w Kanpurze pojawił się Nick. Facet w garniturze wartym więcej niż cały sklep, w którym pracował trzynastoletni Zenno. Zenno bardzo dobrze zapamiętał dzień, w którym pierwszy raz zobaczył Nicka, z jaką swobodą i pewnością siebie przechadzał się po

Odkrycie ze strony www.fantastyka.pl

Ogień i lód

Ewelina Kozik

– Na podwórze – wyszczał Jorin prosto do ucha Mashy. Zamarła na klęczkach, dłonie zaciskając na szmacie. Kto tym razem. Ragan? Baret?

Podniosła wzrok i rozejrzała się po karczmie. Po lewej kilku mężczyzn w ciszy opróżniało kufle. Świece ledwie rozpraszały mrok, jednak Masha widziała ich dobrze. Samotnicy. Zazwyczaj wystarczyło spojrzeć w ich stronę, aby natychmiast znaleźć odpowiedź, jednak tej nocy w ich twarzach Masha nie dojrzała niczego. Popatrzyła w drugi kąt izby, tam goście otaczali grupę przejezdnych wędrowców – przy niskich ławach dla odmiany huczało od rozmów. Pod oknem ktoś śpiewał bełkotliwie, obok niego spał inny, z chmurą białych włosów rozsypanych przy przewróconym kufle.

Mężczyźni z twarzami pokrytymi szronem. Z oblodzonymi brwiami, sinymi ustami i oczyma zimnymi niczym otwory w kapturze kata.

Kronowie. Ludzie Lodu i Ognia. Czasem opuszczali łona matek ze szronem na ustach, a czasem rodzili się podobni zwykłym ludziom. Czasami, jeszcze świadomi swego przekleństwa, walczyli długo i zaciekle, usiłując nie poddać się przemianie. Jednak prędzej czy później każdy przegrywał.

Masha powiodła wzrokiem po lodowych obliczach. Nikt na nią nie patrzył, ale tego akurat się nie spodziewała. Nigdy nie patrzyli. Jej oszpecona bliznami twarz potrafiła zawiązać żołądek mężczyzny w supeł, a to bezapelacyjnie psuło im zabawę. Czasem jednak zdradzała ich nerwowość, krótkie spojrzenia rzucane na boki, by sprawdzić, czy nikt nie zauważył. Czy nikt nie dojrzał w tym siedzącym sztywno mężczyźnie życiowego kuternogi, który właśnie położył na ladzie ostatniego milena i została mu już tylko reszta. I że z tego powodu, zamiast wydymać upudrowaną lalę w jednym z burdeli Vildevergen, musi wziąć Maszę na cuchnącym podwórzu przydrożnej karczmy.

– Głucha jesteś? – poganiał są Jorin dobitnie i zło-wieszczco. Kiedy się pochylił, poczuła bijące odeń zimno, jakby prószył jej na kark drobiny lodu. Niewiele było mu trzeba. Nie lubił w swojej gospodzie robić widowiska, wiedziała jednak, że jeśli go sprowokuje, Jorin białymi od szronu dłońmi podwinie rękawy koszuli i nie będzie sobie przeszkadzał.

Wstała. Na spódnicy, tam gdzie kolana stykały się z podłogą, widniały dwie mokre plamy. Przejechała dłońmi po materiale, czując, jak bezsensowny to gest. Zagięciom na burej, brudnej spódnicy nic nie pomoże, a za chwilę materiał jeszcze bardziej się pomnie. Jed-

nak pełnym bezsenssem było odwrócenie czegoś, co musi się stać. Trzeba wyjść. Załatwić sprawę. W świecie Mashy nie pojawiali się mężczyźni z włócznią, gotowi przebić ściany jej rzeczywistości, w której bóg ją zamknął i zapomniał zapalić świeczkę. Za to często przychodzili, aby sobie ulżyć.

Co noc.

Szybki cios Jorina pod żebro nakazał jej w końcu ruszyć w stronę kuchni.

Sukinsyn, zakłęła w myśli, powstrzymując odruch rozcierania dłonią płonącego boku. Na sztywnych, drewnianych nogach przeszła przez odrapane drzwi, minęła krzywy stół, pchnęła drugie drzwi i wyszła w czarną jak smoła noc, pełną wilgoci zlizywanej jesiennym wiatrem.

Nim zamknęły się wierzeje, usłyszała jeszcze:

– Jorin! Masz, kurwa, najlepszą karczmę w Vergen!

I suchy, lodowaty śmiech w odpowiedzi.

Sukinsyn.

Ruszyła przez podwórze wydeptaną własnymi stopami ścieżką, pod pobliski mur, gdzie nie dochodziło światło gazowej latarenki, a każdy krok dudniącym echem odbijał się w jej głowie, formując w przekleństwo. Nie zamierzała jednak przekląć Jorina głośno. Nigdy więcej. Nie dlatego, że ostatnim razem, kilka lat temu, zszedł po rozchybotanych stopniach do piwniczki pod karczmą, by przynieść stary młotek ze złamanym trzonkiem, ale dlatego, że dźwięk własnego głosu nadał światu wyrazistości, która przeraziła Maszę do cna. Stała wstrząśnięta, mocząc stare, spękane deski między jedną nogą a drugą, a Jorin wyłaniał się z cuchnącej zgnilizną piwniczki, z ręką uniesioną wysoko, aby mogła dobrze widzieć, co trzyma. Uśmiechał się dziko sinymi ustami, zupełnie nieświadomy, że to nie jego Masha się boi. Nie tylko jego. Był zaledwie skrawkiem rzeczywistości, która pewnego wieczoru wywróciła się na lewą stronę i zamknęła nad nią z krótkim, cichym, upiornym świstem.

Pamiętała doskonale tamtą chwilę. Słyszała, że człowiek wypiera z pamięci takie rzeczy, a zwykle wczesnego dzieciństwa wcale nie zapamiętuje. Jednak świat obdarzył Maszę tym jednym wspomnieniem, którego nienawidziła z całego serca i czasem, w najczarniejszej godzinie nocy miała ochotę wyć. Rzucała się na sienniku z boku na bok, piętami kopała w ścianę i drapała paznokciami koc. Koszmar znikał wraz ze świtem, jednak w końcu powracał. Zawsze.

Ile mogła mieć lat? Trzy? Cztery? Na pewno była to jesień. Siedziała przy stole w kuchni, a światło ni-

ROMANTYCZNOŚĆ

Zbigniew Wojnarowski

JAK BŁYSK WYSTRZAŁU

Zanim obudzi go niedaleki, zgłuszony strzał, jakby kto wypalił przez puchową poduszkę, rotmistrzowi Gorycynowi jak zwykle śni się Petersburg.

Miasto wynurza się z zimowej nocy na kształt bajecznej wyspy, spowitej luną gazowego światła. Żółty poblask barwi płatki śpiącego śniegu. Wyglądają na złuszczone z aureol pozłotkę, dmącą nad zamarznąłą Fontanką od jakiegoś widmowego ikonostasu. Po lodzie, lśniącym jak księżyc w pełni, rwą sanie. Jedne, drugie, dziesiąte... Dzwonią janczary, końskie oddechy parują niczym sagany wrzątku. Śmiechy, piski, strzela szampiter, ciągnąc za sobą perlistą wstęgę piany, zgrabne damskie łydki machają nieskromnie spośród falban podkasanych halek.

Co to za rozkosz – pławić się w takim sennym majaku!

Pędzące trojki ze zgrzytem płóz i brzękiem podków przemykają pod Mostem Egipskim, strzeżonym przez starożytne sfinksy, nikną w beczkowato sklepionych czełusciach Mostu Aniczковского, znad którego balustrad rumaki z polerowanego brązu wspinają się w odwieczny przestwór, w zasnuite zadymką niebo świętej Rusi.

A potem – jak to we śnie – sanie wjeżdżają całym pędem wprost do westybulu Opery Marińskiej, gubiąc Bóg wie gdzie śnieżny tuman. Grzmia oklaski, w dali aria Mozartowskiego Don Giovanniego kołysze kryształami rozjarzonych żyrandoli. Nienasycony Gorycyn biegnie po dwa stopnie w górę marmurowych schodów, ciągnąc za rękę chichoczącą Maszę. Niezwykłym trafem za którąś z czerwonych kotar mieści się jej przytulny buduar. Pachną paryskie perfumy. Szumi samowar. Na herbowej porcelanie piętrzą się bliny z kawiozem. I właśnie, gdy Maszeńka wyswobadza się jednym wężowym ruchem z szeleszczących jedwabów sukien, gdy jej naga skóra nęci znajomą pozłotą świętych ikon, gdy padają we dwoje na koronki miękkiej pościeli, rozstępującej się pod namiętymi ciałami jak morska toń – Gorycyna przywraca do świadomości zgłuszony wystrzał.

Siada gwałtownie na łóżku. Pusto. Ciemno. Ciemność porastająca wnętrze jak mech zatyka nozdrza, dławi w krtań. Gorycyn odgarnia po omacku zrolowany pled, używany zamiast podgłówka. Wieczorem schował pod nim załadowany pistolet.

Dalszych strzałów nie słyszeć. Niedalekie pokrzykiwanie, bębni deszcz.

W glinianej izbie jest zimno i niemiłosiernie cuchnie myszami. Mysich gówienek nie uprzątno stąd chyba od początku świata. Rotmistrz sypia w mundurowych spodniach, a teraz na wszelki wypadek wciąga jeszcze na bosa stopy buty z cholewami. Przytupuje niegłośnie

o polepę, żeby pięty weszły. Podzwania ostroga. W wytłuczonym, zabitym deskami oknie ocalał tylko skrawek brudnej szybki. Migocze za nim płomień, gnący się grotowsko w nierównej grubości szkła. Łatwiej domyślić się niż dostrzec, że to pochodnia.

Z pomarańczowej jasności wyłania się wąsata twarz wachmistrza. W deskę niegłośnie stuka zgięty paluch, pękaty nos rozpląszcza się na szybie. Oczy, osłonięte dłonią przed blaskiem, wypatrują w mroku rotmistrza.

– Co tam, Mironow? – odzywa się niechętnie Gorycyn.

– *Proszu prosczenia! Snowa bojec, wasze blagorodie!* Hawryluka utrupił!

Grubsze przekleństwo milknie za zaciśniętymi zębami rotmistrza.

– Pikiety się pospały, do czorta?

– *Da czto-że!* To przez dobre maniery, *wasze blagorodie*. Popił Hawryluk skisłego mleka i poszedł srać na osobności! Usłyszeli my tylko charkot, polecieli z ogniem, a z kuszców wyłaził bojec. Już we krwi cały.

Gorycyn przełyka ślinę, zanim zdobędzie się na zadanie pytania, które uważa za niemądre. Kompletnie niemądre i absolutnie niezbędne.

– Zabiliście go?

– Nie. – Za szybką Mironow, zdaje się, też łyka z gulgotem zgęstniałą ślinę. – Już nie żył, jak te wcześniejsze. Tylko mu łeb odjęłem dla pewności.

– Gdzie jest?

– *Za kołodcom* zlegnął, piekielnik.

C'est la vie, gospoda! Oddałoby się pół życia za dźwięk ludzkiego języka. Za wytworną śpiewność rosyjskiej mowy, za salonową francuszczyznę. Tymczasem dzień w dzień rani uszy soldackie, nieświadome swego prostactwa „odjęlim”, „zlegnął”... I dzicz, ta straszna dzicz wokół.

– Nikt nie śmie tknąć bez pozwolenia, dopilnuj! – mruczy Gorycyn ku rozpląszczonej na szybie grubokościstej, chłopskiej twarzy Mironowa. – Już idę!

Krzesze ogień. Pełgająca poświata wydobywa z ciemności brudne, spękane ściany. Między belkami powały pajęczyny gęste jak brody eremitów. Jedna z nich, natkana strupieszalymi muchami, kłębi się powyżej ościeżnicy drzwi. Trzeba bystrego oka, żeby dojrzeć w zakurzonej przędzy drewniany krzyżyk z figurką niekształtnie wyrzezanego Zbawiciela. Istna barbaria, szary i smutny zaścianek cywilizacji! Pomyśleć, że daleko stąd stubarwne ikony promieniają wewnętrznym światłem na Bożą chwałę, a wieczne lampki płoną pod nimi dzień i noc.

Gorycyn dźwiga się ciężko na nogi, zarzuca na ramiona odcyszczony z wieczora błękitny płaszcz oficerski i spluwa z obrzydzeniem w kąt izby. Pod językiem uwięzła gorycz.

ZAPISANE W WĘZŁACH

(*Tying Knots*)

古者無文字，其有約誓之事，事大，大其繩，事小，小其繩，結之多少，
隨物取寡，各執以相考，亦足以相治也。

Ken Liu

W starożytności nie istniało pismo. Kiedy ludzie zawierali umowę lub pakt, wiązali na sznurki duży węzeł jeśli chodziło o ważną sprawę lub mały węzełek dla mniejszej. Liczba węzłów zależała od ilości objętej umową. Taki rejestr w zupełności wystarczał.

— 《九家易》(Jiujiaji, chiński tekst filozoficzny z badań nad *I Ching*, stworzony prawdopodobnie za czasów wschodniej dynastii) Han (25-220 n.e.).

WIOSKA NIEBIOS

Duchy lubią sobie z nas żartować. Widziałem w życiu więcej niż którykolwiek Nan w zapisanej historii, a moje krótkowidztwo graniczy ze ślepotą.

Pięć lat temu dwóch birmańskich kupców wspięło się na górę podczas swej dorocznej wyprawy handlowej. Ich włosy ociekały wodą po forsownej wędrówce przez chmury, a towarzyszył im obcy.

Przybysz nie przypominał nikogo z kim się zetknąłem, a w naszych sznurkowych archiwach także nie było wzmianki o nikim podobnym. Był wysoki, dwie stopy wyższy od mojego siostrzeńca Kaia, najwyższego w naszej wiosce. Miał bladą twarz z rumieńcami, jak posąg *arhata* z pomalowanym obliczem. Jego oczy były niebieskie, włosy złociste, a nos ostry i wystający jak ptasi dziób.

Pha, jeden z handlarzy, powiedział nam, że obcy nazywa się To-mu.

– Pochodzi z bardzo daleka.

– Z tak daleka jak Rangun? – zapytałem.

– Jeszcze dalej. Jest z Ameryki. Wodzu Soe-bo, to tak daleko, że nawet sobie nie wyobrażasz. Jastrząb lecący bez przerwy dwadzieścia dni nie dałby rady tam dolecieć.

Pha pewnie przesadzał; lubił zmyślać. Ale To-mu odezwał się do niego w ostrym, urywanym języku, który miał zupełnie nieznaną mi melodię, zatem na pewno nie pochodził z żadnego znanego mi miejsca.

– Co on tu robi?

– Któż to wie. Nie rozumiem nic z tego, co robi. Wszyscy ludzie Zachodu są dziwni, a poznałem ich wielu. Ten jest nawet dziwniejszy niż inni. Przyszedł do Man-sam dwa dni temu, niosąc na grzbiecie plecak, w którym trzyma chyba cały swój dobytek. Poprosił mnie i Aunga, żebyśmy zaprowadzili go do miejsc, do których nie dotarł przed nim nikt z Zachodu. Zaoferował nam dużo pieniędzy. Powiedzieliśmy mu zatem, że zabierzemy go do Wioski Niebios. Może ucieka i ukrywa się przed jakimś baronem narkotykowym.

Pha zrobiłby dla pieniędzy wszystko, naraziłby się nawet na gniew generała posiadającego pola opiumowe. My też czasem sprzedajemy za pieniądze ryż, aby zaoszczędzić coś na chude lata, gdy może nam go zabraknąć na handel. Ale nie tęsknimy za nimi tak, jak Pha.

Jeśli To-mu próbował się ukryć przed opiumowym baronem, nie chcieliśmy z nim mieć nic wspólnego. Musiałem uważnie go obserwować i upewnić się, że odszedł z kupcami. On jednak nie zachowywał się jak zbieg. Był hałaśliwy i grubiański, uśmiechał się do wszystkich i wszystkiego. Prosił jednego mieszkańca wsi po drugim, żeby stali nieruchomo, gdy podnosił do oczu małe metalowe pudełko i wydawał nim klikające dźwięki. Kręcił się po wiosce, oglądał nasze chaty, pola na wąskich terasach, dzikie kwiaty i chwasty, a nawet dzieci srające po krzakach. Pha tłumaczył, on zaś zadawał najgłupsze możliwe pytania. Jak mówimy na to zwierzę? Jak nazywa się ten kwiat? Co jemy? Jakie rośliny uprawiamy? To-mu był jak dziecko, które nie ma pojęcia o podstawowych rzeczach. Zachowywał się jakby pierwszy raz widział ludzi.

Odszukał Luka, naszego uzdrowiciela i pomachał mu przed nosem zwitkiem pieniędzy.

– Chce, żebyście opowiedzieli mu o waszych chorobach i jak je leczycie – wyjaśnił Pha.

Handlarze też czasami prosili Luka o rady, więc ta prośba To-mu nie wydała im się tak dziwna jak inne. Luk zlekceważył pieniądze i cierpliwie oprowadził To-mu. Pokazał mu zioła i owady, wyjaśnił ich zastosowanie. To-mu oklikał wszystko swoim metalowym pudełkiem. Robił notatki, pozbierał zioła i owady i zapakował je do małych, przejrzystych torebek, które wyjął z plecaka.



My, Nan, mieszkamy na tej górze od tysięcy lat. Najstarsze księgi przekazywane w wiosce – co parę pokoleń kopiowane i ponownie supłane na nowych konopnych linach – opowiadają o początkach naszego ludu. Dawno temu, nasi przodkowie mieszkali wiele dni dalej na północy, w małym-

Kwiat, Litość, Igła, Łańcuch

(Flower, Mercy, Needle, Chain)

Yoon Ha Lee

Powszechnym błędem jest przekonanie, że w każdym wszechświecie wiele potencjalnych przyszłości rozchyła się z danego momentu. Istnieją takie wszechświaty, w których determinizm biegnie w drugim kierunku: przy danym stanie wszechświata s w określonym momencie t istnieje wiele różnych przeszłości, które do takiego stanu prowadzą. W niektórych zaś wszystkie możliwe przeszłości, niczym w lejku, zbiegają ku jednemu zakończeniu, Ω .

Jeśli posiadasz skłonności dekadentkie, możesz nazwać Ω Armageddonem. Jeśli masz zapędy gramatyczne, możesz nazwać to znakiem interpunkcyjnym na kosmologicznej skali.

Filozofowie określiliby Ω jako zdarzenie nieuchronne.



Kobieta nawiedza Stację Blackwheel od zawsze, chociaż tak naprawdę wcale stamtąd nie pochodzi. Jest człowiekiem, a jej proste czarne włosy i sarnie oczy sugerują rodowe pochodzenie skrzyżowane z tygrysami i zmiennokształtnymi lisami. Nikt z okolicy nie potrafi zrozumieć jej rodzimego języka.

Mawiano, że jej prawdziwe imię oznacza szarość, popiół i grób. Mogłeś kupić jej drinka, obsypywać ją kandyzowanymi płatkami kwiatów albo metalami szlachetnymi, ale i tak nic by to nie dało. Nie zdradziłaby swojego prawdziwego imienia. To jednak wcale nie powstrzymywało ludzi przed podejmowaniem kolejnych prób. Dzisiaj jest to mężczyzna o lustrzanych oczach. Pierwszy człowiek, jakiego widzi od dawna.

– Kwiat Arighan – mówi.

To nie jest jej imię, a mimo to, kobieta podnosi wzrok. Kwiat Arighan to nazwa pistoletu, który nosi przy sobie. Ten obcy przywdział ludzką twarz, by z nią porozmawiać, ale najwyraźniej interesuje go przede wszystkim jej broń. Pistolet przyjmuje różne kształty, ale w tym końcu czasu, wielość form bardziej zaskakuje swoim brakiem niż występowaniem. Czasami broń jest długa i lśniąca, czasem tępą i ciężką. We wszystkich przypadkach na łożysku pistoletu widnieje znak wykonany przez jego wytwórcę: kwiat z trzema spadającymi płatkami i czwartym, wyglądającym jakby także zaraz miał odpaść. W jego sercu widnieje znak przypominający inny kwiat, pokryty węzłami korzeni.

Znaczenie tego symbolu jest sekretem broni. Kobieta nie wyjawia ci go, a rusznikarka Arighan nie żyje od kilku pokoleń.

– Każdy wie, czego strzegę – mówi kobieta człowiekowi o lustrzanych oczach.

– Wiem – odpowiada mężczyzna. – Wiem także, że pochodzisz z miejsca, gdzie ludzie szanują własnych przodków.

Jej dłoń – zaciśnięta na szklance wody o temperaturze dwóch stopni powyżej zera – zastyga na moment i ześlizguje się w kierunku kabury.

– To niebezpieczna wiedza – mówi.

A więc ten człowiek wiedział. Historycy zajmujący się przeszłością jej ziomek, określali Kwiat Arighan *pistoletem przodków*. I nie odnosili się wcale do jego wieku.

Mężczyzna uśmiecha się miło i, nieproszony, nie siada. Posiada dobre maniery, ponieważ nie jest człowiekiem. Jego umysł może i mieści się w zewnętrznej forticy ciała, ale określające go algorytmy zapisano gdzieś daleko stąd.

Mężczyzna mówi:

– Być może jestem pierwszą skonstruowaną osobowością, która cię odwiedza.

– To nie tak – kobieta potrząsa głową i zastanawia się, czy komputery takie jak on posiadają duszę. Jest przekonana, że ten akurat posiada, co jest potencjalnie kłopotliwe. – Nie jestem do wynajęcia.

– Ale to ważne.

Tak, to zawsze jest ważne. Chcą śmierci ministrów albo generałów, porzuconych kochanków i konkurencyjnych wcieleń, bodhisattwów i przełożonych – dobrze znała wszystkie te stare i tandetne historie. Ludzie i ich ograniczony sposób rozumowania. Reputacja Kwiatu Arighan rozumiana była bardzo specyficznie i w większości przypadków błędnie.

– Czyżby – odparła. Zwykle w ogóle nie wdawała się w dyskusje z petentami. Miała w zwyczaju ignorować ich pijąc jednego, dwa, trzy a nawet cztery drinki – byli wtedy niczym dziecko powoli rozumiejące, że nie da się policzyć nieskończoności.

Były czasy, kiedy znacznie częściej próbowano odebrać jej broń. Zanim splątała swoje losy z Kwiatem, kobieta była wojownikiem i zabójcą, a Kwiat ofiarował jej swoją własną ochronę, która polegała na tym, że trzymająca go w dłoni osoba była nieśmiertelna. Jedną z rzeczy, które lubiła w Blackweel było to, że jego administratorzy obiecali jej pozbywać się zwłok, które po sobie zostawiała. A Blackweel słynie z dotrzymywania obietnic.

Mężczyzna czeka dłuższą chwilę i w końcu pyta:

– Czy możesz mnie wysłuchać?

– Myślę, że powinien się mnie nieco bardziej obawiać – odpowiada mu – jeśli rzeczywiście wiesz to, o czym próbujesz mnie przekonać, że wiesz.

W tej chwili większość pozostałych znajdujących się w barze osób, z których żadna nie jest człowiekiem, skupia uwagę na ich rozmowie. Muzykant, którego instrument wykonany jest ze skamieniałego drewna i jedwabnych strun, bakałarz z długą grzywą, inżynierowie z wiszącymi w powietrzu szkicami – na jednym z nich ktoś nabazgrał kosmiczny statek. Jedynym wyjątkiem jest wytatuowany podróżnik, który przysypia przy odległym stoliku, marząc o odległych księżycach.

Kobieta bez pośpiechu wyciąga Kwiat i wymierza w mężczyznę. Nie mierzy w jego puste serce, ale w lewe oko. Jeśli wystrzeli, przedziurawi go na wylot przez sztuczną źrenicę.

Muzykant zaczyna brzdękać, wydobywając z instrumentu donośne dźwięki. Pozostali, widząc broń, gapią się na nich jeszcze tylko przez chwilę, po czym spieszenie opuszczają bar. Zupełnie, jakby mogło ich to ochronić.

– Tak – odzywa się mężczyzna, dziwnie niewzruszony – możesz zniszczyć moje rodowodowe ciało. A ja mogę wymienić każdego

Pierścień Verthandiego

(Verthandi's Ring)

Ian McDonald

Okręt bojowy Kładu Wiecznie Wonny Zapach Boskości powrócił do umierającego układu słonecznego po trzynastu subiektywnych minutach i pięciuset dwudziestu ośmiu latach. Sieć chmurowa Oort wyciągnęła załogę; ślizgając się wokół studni grawitacyjnych gorących gazowych olbrzymów i napuchłej gwiazdy głównej statek wyskoczył z systemu na trzydziestu procentach prędkości światła wprost w głęboki mrok. Małe, szybkie i tanie okręty bojowe były jednorazowego użytku: obła konstrukcja opierająca się na nanoprocesorach z miejscem dla trójosobowej szczątkowej załogi, umieszczona w sercu komety, która miała zostać powoli zużyta podczas trwającego ponad pięćset lat lotu. Statek był tak obrzydliwy i tani, że imię uzyskał tylko od załogi znudzonej po pięciu (subiektywnych) minutach spowolnionej symulacji życia zakonnego na pustyni Sofreendi, którą to wybrała sobie jako interfejs bojowy.

Sieć chmurowa Oort przechwyciła załogę, przerzuciła ją do stoczni i przesłała w kluczu przez długie, zimne obręcze kometarnych aureoli, które z ułamkiem prędkości światła przeniosły obsadę wprost do punktu przekazywania znajdującego się przy opasłym gazowym gigancie, wokół którego osiemset habitatów floty-córki nowego Kładu tworzyło perłowy łańcuch. Po chwili załoga statku została przesłana do samego Świata-serca Kładu, kąpiącego się w energii pochodzącej z korony starego, chciwego, opuchniętego słońca, by tam zostać wprowadzoną w nowe ciała.

– Hej, wróciliśmy! – krzyknęła załoga Wiecznie Wonnego Zapachu, wychodząc przez brązowe bramy Domu Dusz i schodząc po marmurowych schodach, wprost do zatłoczonego Majdanu Świetlistej Pasji. Na tym wewnętrznym poziomie spośród setek koncentrycznych sfer Świata-serca ironia wciąż była używana, lecz nikt z kobiet, mężczyzn, maszyn czy bestii nie zwrócił na to uwagi. Załogi okrętów bojowych wiedziały, że nie należy oczekiwać uznania i pochwał, gdy przeduszczały się po stu lub stu tysiącach lat na linii frontu. Wieści o zwycięstwie Wiecznie Wonnego Zapachu dotarły prawie trzysta lat wcześniej. Znacząca wygrana, triumf, o którym miało się nauczać we wszystkich szkołach wojskowych i Akademii Sztuki Obrony przez nadchodzące milenia. Klasyczna strategia Róży Jerycha.

Rozsiane niczym puch ostu na przestrzeni pięciuset lat świetlnych nasiona wczesnego wykrywania poczuły uderzenie Przeciwnika na wskroś osłabionych zmysłów i obudziły się. Masery komunikacyjne pospiesznie sklecone z regolitów mroźnych księżyców przesłały analizy z powrotem do Świata-serca, skupionego na trwającym stulecia zadaniu ocalenia biosfery: osiemdziesiąt tysięcy habitatów w ruchu. Po dwustu pięćdziesięciu latach nie było nanosekundy do stracenia. Trzydzieści pięć statków zostało utraconych: awarie systemów, uszkodzenia na-

pędów, które spowodowały nieskończone przyspieszenie okrętów, trwające dekady drobne błędy w nawigacji powodujące, że okręty miały docelową studnię grawitacyjną o całe lata świetlne, utrata masy spowolnienia. Nagłe, całkowite, katastrofalne błędy. Pięćset lat później samotny Wiecznie Wonny Zapach Boskości przybył za trzeci księżyc wędrownego gazowego olbrzyma, będącego grawitacyjnym wygnańcem, podróżującym wśród gwiazd. Okręt zaczął konstruować deszcz głowic antymaterii i ustawiać je na orbicie wokół wędrowca. Obmyślony naprędce, lecz genialny plan. Plan Róży Jerycha. Gdy Wiecznie Wonny Zapach Boskości oddalał się od nowej jasnej mgławicy, jego tylne sensory zarejestrowały jak osiemdziesiąt tysięcy światów Wroga zderza się z falą uderzeniową przyspieszonego do czterdziestu procent prędkości światła gazu i wyparowuje. Zginęło dwadzieścia bilionów naukowców. Wojna w czasoprzestrzeni jest powolna, obszerna i krwawa. Nie ma litości, gdy walczą ze sobą całe gatunki.

Wśród niknącego echa floty kultury trójka skrytobójców z Wiecznie Wonnego Zapachu Boskości przechwyciła wektor. Flota nie została nakierowana na ludobójczy atak na Światy-serca Kładu, które gromadziły się wokół światów Seydatryahu i w miarę, jak słońce krztusiło się i pęczniało od własnego gazu, powoli stawały się postbiologiczne. Wektor i szept: Pierścień Verthandiego.

Lecz teraz powrócili, hurra! Księżyc Żniwiarzy, Wonny Eukaliptus i Róża Jerycha – największy taktik tej generacji tkanki. Jednakże kiedy pojawili się na stopniach Domu Dusz by klócić się (jak robili to przez cały czas – spowolnione dwadzieścia sześć minut międzygwiazdowego lotu i przyspieszone dwieście lat misji przy czarnym wędrowcu), dokąd wpierw pójść, co zrobić, gdzie być i czego unikać:

– Gdzie Róża? Gdzie jest Róża? – spytała Księżyc Żniwiarzy, której ranga była najbardziej zbliżona do historycznego stanowiska kapitana.

Tylko dwie przeduszczone istoty stały na marmurowych stopniach górujących nad Majdanem Świetlistej Pasji

– Cholera – syknęła Wonny Eukaliptus, której stanowisko odpowiadało mechanikowi. Poszukiwanie duszy na tym poziomie nie dało żadnego śladu brakującego członka ich załogi. Na tym najbardziej centralnym poziomie, w sercu serc, mającej dziesięć kilometrów średnicy kuli kwantowych nanoprocesorów takie poszukiwania sięgały daleko – aż po odpowiednik każdej wirtualnej mysiej dziury i domowego ołtarza – i były natychmiastowe. A także jałowe. Dwójka pozostałych członków załogi Wiecznie Wonnego Zapachu Boskości dobrze wiedziała, co to oznaczało.

– Będziemy musiały zrobić ten numer z mięsem.

Iskry wznosiły się ku górze

(Sparks Fly Upward)

Lisa Morton

Oddech mój słabnie i dni moje się skracają, grób mi tylko pozostaje.

Księga Hioba 17, 1

Szczęśliwy i święty, kto ma udział w pierwszym zmartwychwstaniu!

Apokalipsa Jana 20, 6

16 czerwca

Jutro minie rok od założenia Kolonii i wydaje mi się, że niemal każdy zajęty jest przygotowaniami do wielkiej uroczystości. Dwa tygodnie temu mieliśmy pierwsze prawdziwe żniwa, będzie więc mnóstwo dobrego jedzenia, a co do picia – cóż, wytwór z destylatora George’a jest wciąż zbyt ekstremalny dla większości, dlatego Tom i kilku chłopaków zrobili mały wypad na zewnątrz, żeby zdobyć trochę porządnego alkoholu.

Oczywiście zmartwiłam się, kiedy Tom powiedział mi, że wychodzi (nawet nie po coś naprawdę potrzebnego, tylko po gorzałkę), ale stwierdził, że nie było tak źle. Droga była prawie całkiem pusta przez pierwsze pięć mil od opuszczenia bezpiecznego terenu Kolonii, a nawet większa część Philipsville, niewielkiego miasta, w którym ograbili sklep monopolowy, była opuszczona. Tom powiedział, że zastrzelił jednego w piwnicy monopolowego, kiedy zszedł tam poszukać lepszego wina; była to stara kobieta, prawdopodobnie zamknięta tam żona dawnego właściciela sklepu. Niestety, pozrzuciła większość dobrych butelek na podłogę, gdzie się roztrzaskały. Tom zabrał, co zostało i nienaruszoną skrzynię niezłego burgunda, którą znalazł w kącie. W Kolonii jest stu trzydziestu jeden dorosłych i Tom oszacował, że w Rocznicę powinna wypaść butelka na dwie osoby.

Minęły dwa tygodnie odkąd w pobliżu murów zauważono jakiegoś martwiaka, a tego ostatniego zdjął Pedro Quintero, nasz najlepszy strzelec, ze wschodniej wieży pakując kulę w samą głowę stwora. Łatwo by było wmówić sobie, że cała sytuacja się poprawia... Łatwo i niebezpiecznie, bo wcale tak nie jest. Nieobecność martwiaków dowodzi tylko jednej rzeczy: że Doc Freeman miał rację, wybierając tę lokalizację, z dala od miast i autostrad.

Oczywiście, że Doc Freeman miał rację – we wszystkim ma rację. Powiedział, że powinniśmy iść tak daleko na północ, bo na południu będzie coraz goręcej, i miał rację, od tygodnia temperatura nie schodziła poniżej osiemdziesięciu stopni Fahrenheita. Nie chcę nawet myśleć o tym, jak jest teraz w L.A. – pewnie ze sto dwadzieścia, i to w cieniu.

Jutrzejsze święto posłuży w równej mierze uznaniu działań Doca Freemana, co uczczeniu rocznicy założenia Kolonii. Gdyby nie on... Cóż, pewnie razem z Tomem i małą Jessie włóczylibyśmy się gdzieś tam, z całą resztą, martwi od roku, ale wciąż głodni. Zawsze głodni.

Zabawne, ale zanim to wszystko się zaczęło, Doc Freeman był tylko ekscentrycznym profesorem wykładającym nauki rolnicze i propagującym sztukę przetrwania. Tom od zawsze uważał, że Freeman i tak myślał o odcięciu się, nawet przed

tą całą sytuacją z zombie, w związku z podnoszącymi się temperaturami. Mówił swoim studentom, że w większości Stanów rolnictwo należało do przeszłości i że wkrótce w całości przeniesie się do Kanady.

Kiedy pojawiły się martwiaki (Doc Freeman twierdził, tak jak i wielu innych ekologów, że powstały na skutek dziur w warstwie ozonowej), było dla niego, jak myślę, najnaturalniejszą rzeczą na świecie zebrać grupę zwolenników i wyruszyć na północ. Sam wybrał miejsce na Kolonię, ustanowił zasady i rząd, zaprojektował układ pól, domów, pólów i nawet przydzielił każdemu z nas zadanie, zgodnie z tym, w czym byliśmy najlepsi. Na początku rzecz jasna było to dość przerażające – zwłaszcza z trzyletnią wtedy Jessie – ale w końcu weszliśmy w stały rytm. Odkryłam nawet, że utalentowany ze mnie ogrodnik – Doc mówi, że tuż po nim jestem najlepsza – i w niektórych aspektach to życie jest lepsze od poprzedniego.

Oczywiście jest wiele rzeczy, których wszystkim brakuje: lodów, niezrogowaciałych rąk, telewizji. Del ciągle siedzi przy radiu przeszukując krótkie fale z nadzieją, że kiedyś coś usłyszy. W ciągu roku zdarzyło się to tylko raz i tamta transmisja zakończyła się odgłosem strzałów.

Akceptujemy więc swoje miejsce w świecie, jak i fakt, że może jest to ostatnie miejsce. Jutro nie będziemy już tego tylko akceptować – uczymy to.

Chciałabym wiedzieć, jak mam się czuć.

17 czerwca

Cóż, wielki dzień nastał i minął.

Tom leży obok mnie, chrapiąc w błogim alkoholowym niebycie. Jutro znów będzie pracował na polach, więc zasłużył na te chwile wytchnienia.

Jessie jest w swoim pokoju, wyczerpana wczorajszą zabawą i zjedzonymi słodyczami. Tom nawet pozwolił mi wykorzystać cenną godzinę taśmy, żeby ją dzisiaj nagrać.

Nie tylko ja płakałam, kiedy Doc Freeman wstał i wygłosił przemówienie o tym, jak jego obliczenia wskazują, że jeśli utrzymamy obecne wspaniałe tempo rozwoju, to za trzy lata będziemy mogli powiększyć kolonię. Powiększyć ją, dodał, ostrożnie. Co oznaczało, że za trzy lata będzie pewnie około czterdziestu czy pięćdziesięciu par – jak Tom i ja – błagających o bezcenne prawo do powiększenia rodziny.

Wiem, że Doc ma rację, że musimy pamiętać o naukach wyciągniętych z dawnego świata i nie przekroczyć naszych możliwości produkcji, utrzymania wzrostu... ale jakoś odmawianie powołania nowego życia zdaje się złe, kiedy otacza nas tyle śmierci.

Zwłaszcza kiedy to nowe życie jest we mnie.

24 czerwca

Spóźniałam się już dwa miesiące, byłam więc na tyle pewna, żeby iść do Dale'a Oldfielda. Zrobił badanie tak dokładne, jak mógł (jest świetnym internistą, ale wciąż ma tutaj niewiele sprzętu) i potwierdził moje podejrzenia.

Jestem w ciąży.

Wspólnie stwierdziliśmy, że to mniej więcej szósty tydzień. Dale podziękował mi, że nie próbuję tego ukryć, po czym powiedział, że będzie to musiał zgłosić Freemanowi. Poprosiłam tylko, żebyśmy razem z Tomem mogli być przy tym obecni. Zgodził się i umówiliśmy się na jutrzejsze popołudnie.

Wróciłam do domu i powiedziałam Tomowi. Najpierw był szczęśliwy, a po chwili przypomniał sobie, gdzie jesteśmy.

Powiedziałam mu, że jutro widzimy się w tej sprawie z Dkiem Freemanem i opętała go myśl, że w jakiś sposób uda mu się przekonać Doca, żeby pozwolił nam zachować to dziecko.

Nie mogłam słuchać, jak się tak torturuje, więc czytałam Jessie bajki i trzymałam ją w ramionach, dopóki obie nie zasnęłyśmy w wąskim, dziecięcym łóżku.

25 czerwca

Spotkaliśmy się dziś z Freemanem. Dale Oldfield potwierdził moje słowa, po czym z gracją wyszedł, mówiąc przy tym, że gdyby był potrzebny, to będzie w swoim „gabiniecie”.

Doc Freeman nalał każdemu szklaneczkę Jim Beama ze swojej prywatnej kolekcji, po czym zaczął nas przeproszać. Tom próbował go przekonać, że poród byłby dobry dla morale i że z pewnością Kolonia da sobie radę z jedną dodatkową osobą, ale Doc cichym głosem powiedział mu, że w przeciwieństwie do wielu młodych par my mamy już dziecko i nie powinniśmy oczekiwać specjalnego traktowania. Tom w końcu zrezygnował, przyznając rację Freemanowi – a ja nigdy w życiu nie kochałam go tak bardzo, jak w tej chwili, kiedy zobaczyłam jego ból i żal.

Razem ze mną poszedł powiedzieć Dale'owi, że w przyszłym tygodniu zgłosimy się do niego, a on tylko skinął głową, nie podnosząc jej, nie patrząc nam w oczy.

Później w naszym domku kłóciliśmy się z Tomem kilka godzin. Oboje zwariowaliśmy, mówiąc o odejściu z Kolonii, o zbudowaniu gdzieś własnego małego fortu, nawet o obaleniu Doca Freemana... Ale chyba oboje wiedzieliśmy, że to tylko fantazje. Doc Freeman znowu miał rację – mamy przecież Jessie i może za kilka lat nastanie dobry czas na kolejne dziecko.

Ale nie teraz.

2 lipca

Na jutro wyznaczaliśmy na dzień, w którym to zrobimy.

Boże, chciałabym, żeby był jakiś inny sposób. Niestety, mimo faktu, że w ciągu ostatniego roku trzy razy wykonywał łyżeczkowanie, Dale wciąż nie przeniósł sprzętu z kliniki do Kolonii. Co za ironia, że możemy organizować wypad po alkohol, ale nie po sprzęt medyczny. Doc Freeman mówi, że to dlatego, że sprzęt jest dużo większy od butelek, a jedyna ciężarówka Kolonii nie działa praktycznie od momentu, kiedy tu osiedliśmy.

Tak więc jutro Tom, Dale i ja udajemy się na osiemnastomilową wyprawę do Silver Creek, najbliższego miasta dość dużego, żeby była w nim klinika planowania rodziny. Dale, który ma klucze do kliniki, zapewnia mnie, że trudne

będzie tylko dostanie się z auta do drzwi kliniki. Mówi, że nie mogą wejść do środka, więc będziemy bezpieczni – to jest, do momentu, kiedy będziemy musieli wracać.

Zabawne... kiedy mówi o niebezpieczeństwie, to tylko o martwiakach.

Nigdy nie wspomina samej aborcji.

3 lipca

Nie spałam za dobrze tej nocy. Tom mnie obejmował, ale w końcu nawet on zasnął na chwilę. Kiedy piszę te słowa, jest ranek i słyszę, jak Jessie powoli się budzi. Jak już ją ubiorę, spróbuję jej powiedzieć, że mama i tata muszą na jakiś czas wyjechać, ale zajmie się nią miła pani Oldfield. Będzie płakać, ale mam nadzieję, że nie dlatego, że naprawdę zrozumie całą sytuację.

Jest już później – wszystko załatwione z Jessie, a Dale przygotował jeepa do drogi. Tom i ja jeszcze raz sprawdzamy zapasy: automat kalibru 38. z pełnym magazynkiem, Uzi z dodatkowymi magazynkami, sztucer z mnóstwem amunicji, trzy maczety i małe drewniane pudełko. Dale ma też swoją strzelbę i Walthera PPK, o których mówi, że czuje się z nimi jak James Bond. Wszyscy zawsze mu na ten temat dokuczają, mówiąc, że przynajmniej wrogowie Bonda żyli. Dale reagował na to ostrym spojrzeniem i milką.

Czas wyruszyć.

Weszliśmy do jeepa. Tom spytał, dlaczego zabieram ciebie (pamiętnik) ze sobą, na co odpowiedziałam mu, że jesteś moją króliczą łapką i uspokajaczem. Przestał mówić i Dale odpalił silnik. Po drodze musieliśmy się trzy razy zatrzymać, żeby ludzie pracujący na polach mogli nas na pożegnanie uściskać i życzyć nam powodzenia.

Przejechaliśmy już około piętnastu mil i jak dotąd było tak, jak Tom mówił, że będzie – spokojnie. Od momentu, w którym otworzyła się brama i wyjechaliśmy na gruntową drogę minęło z dziesięć minut, zanim zobaczyliśmy pierwszego martwiaka. Człapał powoli przez wyschnięte pole, oddalony o pięćdziesiąt jardów od drogi, gdy my śmignęliśmy obok.

Kilka mil dalej na drodze stała grupa trzech martwiaków, ale były dość daleko od siebie. Dale objechał dwa z nich – próbowały bezskutecznie pochwycić jeep pazurami, ale jechaliśmy sześćdziesiąt na godzinę, więc tylko sobie otarły palce. Trzeciego trudniej było ominąć – po obu stronach drogi leżały wraki samochodów – więc Dale po prostu w niego wałnął. Przeleciał nad klatką przyspawaną do przodu jeepa i wylądował gdzieś na boku drogi. Ledwo to poczuliśmy.

Dojeżdżaliśmy właśnie do obrzeży Silver Creek, kiedy Dale zwolnił i odchrząknął. Następnie powiedział: „Słuchaj, Saro, powinnaś wiedzieć coś o klinice”. Spytał, czy rozmawiałam z którąkolwiek z tych trzech kobiet, które już tu przywiózł.

Lisa Morton

Ur. w 1958. Amerykańska autorka horrorów i scenariuszy, zaczynała od filmu „Meet the Hollowheads”. W 2006 i 2009 została wyróżniona Nagrodą im. Brama Stokera. W 2010 ukazała się jej debiutancka powieść „The Castle of Los Angeles”. „Iskry wzlatują ku górze” pierwotnie ukazały się w antologii „Mondo Zombie”, następnie zostały przedrukowane w zbiorze „The Living Dead” pod redakcją Johna Josepha Adamsa.

Oczywiście, że rozmawiałam, ale one tylko zapewniły mnie, że Dale wykonuje zabieg biegle i bezboleśnie i że gdybym chciała porozmawiać, mam do nich przyjść. Żadna z nich nie powiedziała niczego o samej klinice.

Powiedziałam to wszystko Dale'owi, a on zadał mi bardzo dziwne pytanie.

Zapytał, czy jestem religijna.

Spojrzelśmy z Tomem na siebie i Tom spytał Dale'a, o co mu chodzi.

Dale wykrztusił coś o tym, jak to martwiaki z reguły wracają do miejsc, które były dla nich ważne, jak domy, centra handlowe czy szkoły.

Skinęliśmy na to – każdy to wiedział – i Dale spytał, czy słyszeliśmy o OPERACJI RATOWANIE DUSZ.

Przysięgam, że dosłownie poczułam w ustach jakiś ohydny smak. Jak mogłam o tym zapomnieć? Fundamentalisci, którzy stali przy wejściach do klinik aborcyjnych i wykrzykiwali wyzwiska na ludzi, którzy do nich wchodzili. Towarzyszyłam kiedyś przyjaciółce – bardzo młodej przyjaciółce – kiedy właśnie to ją spotkało.

Wtedy dotarło do mnie, co Dale ma na myśli. Nie mogłam w to uwierzyć. Próbowałam go o to spytać, ale nie mogłam nic z siebie wykrztusić. Skinął głową i potwierdził moje myśli.

Oni wciąż tam są.

Niemal całe Silver Creek było opuszczone. Widzieliśmy kilka z nich w zakurzonych witrynach sklepów, gapiących się na nas bezrozumnie, gdy przejeżdżaliśmy, ale pewnie nie pożywyli się od ponad roku i były dość ospałe. Albo też takie po prostu były za życia – gapiły się z rozwartymi ustami jak wszystko wokół mijało bezpowrotnie.

Zupełnie inaczej miała się sprawa z tymi, które stały przed kliniką.

Było ich chyba z dwadzieścia, zebranych gęsto przed zamkniętymi drzwiami. Gdy podjechaliśmy, zobaczyłam ich ubrania, kiedyś zadbane i wykrochmalone, teraz poplamione tymi wszystkimi płynami, których dawno temu obawiali się i nie znosili bądź nienawidzili. Jeden z nich ciągle trzymał znak (kilka sekund później zdałam sobie sprawę, że przed śmiercią przyczepił go sobie do nadgarstka za pomocą taśmy), na którym napisane było: OPERACJA RATOWANIE DUSZ – URATUJ DUSZĘ DLA CHRYSUSA! Kilka miało jeszcze obowiązkowe koszulki z napisem ABORCJA TO MORDERSTWO, teraz już obszarpane i wyblakłe.

Ich przywódcą był ksiądz. Pamiętałam go z przeszłości, kiedy pojawiał się we wszystkich serwisach informacyjnych, wygłaszając swe odrażające poglądy, podczas gdy jego stadko wtórowało w tle. Oczywiście teraz wyglądał inaczej – ktoś przekąsił jego mięsień czworoboczny, tak więc koloratka pokryta była krwią i wisiała krzywo, a jego głowa (z tej samej strony brakowało mu też sporego kawałka skalpu) przekrzywiła się pod dziwnym kątem.

Zobaczyłam, jak Dale mierzy ich spojrzeniem i szepcze coś do siebie. Spytałam się, co mówi, żebym mogła to sobie zapisać: Tak to człowiek rodzi się, by cierpieć, podobnie jak iskry, by wlatywały ku górze. Powiedział, że to z Biblii. Zdziwiło mnie to; nie wiedziałam, że Dale czyta Biblię.

Tom odpowiedział cytatem z jednego z bardziej współczesnych proroków: Kiedyś czułem obrzydzenie, dzisiaj staram się

tym bawić.¹ Potem spytał Dale'a, co teraz zrobimy. Dale, który miał w tym pewne doświadczenie, powiedział, że raz objedzie budynek, co odciągnie większość z nich z dala od drzwi na tyle, że zdążymy wejść. Pusty jeep zostawia w spokoju.

Dale ruszył w stronę najbliższego rogu. Tom wyciągnął automat i trzymał go w gotowości, a ja sobie coś przypomniałam.

Myślałam o tym, jak razem z przyjaciółką, Julie musiałam udać się do innej kliniki. Było to zanim jeszcze zaczęłam w tobie pisać, pamiętniku – w zasadzie to ciebie zaczęłam wtedy, kiedy Julie zniknęła razem z większością świata. Tak więc nigdy tego wszystkiego nie zapisalam.

Julie zaszła w ciążę ze swoim chłopakiem Seanem, który zostawił ją, gdy mu powiedziała. Aborcje były wtedy legalne (było to dawno temu), ale mogły być dość drogie, a Julie, która ciągle chodziła do college'u (jak ja), nie miała pieniędzy. Zwróciła się do rodziców, ale oni wyrzucili ją z domu. Rozważała urodzenie dziecka i oddanie go do adopcji, ale nie była ubezpieczona, nie byłoby jej stać na poród, a przebudnienie uważała za koniec świata. To wszystko, oczywiście, miało miejsce, zanim pojawiły się martwiaki i cała ta sprawa się wyjaśniła.

Pożyczyłam jej więc pieniądze i zgodziłam się pójść z nią do kliniki. Umówiła się, tak bardzo się przejmowała, że całą noc przed zabiegiem nie mogła spać, dwa razy prawie się wycofała w czasie podróży na miejsce – a wszystko to po to, żeby mogła spotkać się z tymi porządnymi chrześcijanami, składającymi się na Operację Ratowanie Dusz.

Usadowili się po obu stronach przejścia prowadzącego do kliniki. Choć działo się to w innym stanie i w innym czasie, ubrani byli w takie same koszulki i mieli takie same znaki. Byli to głównie mężczyźni lub kobiety w ubraniach tak ciasnych, że zdawały się stanowić zagrożenie dla życia. Wszyscy uśmiechali się bezmyślnie, co szybko przechodziło w straszne grymasy pogardy, gdy tylko ktoś przekraczał drzwi kliniki.

Julie tylko na nich zerknęła i nie chciała wyjść z samochodu. Powiedziałam jej, że się spóźnimy, ale odparła, że to nieważne.

Rozmawialiśmy już o moralności aborcji i zgodziłyśmy się, że oczywiście jest, że nieuformowany, wczesny płód jest tylko częścią ciała matki, oraz że każda kobieta ma prawo dokonać własnego wyboru. Przypomniałam o tym Julie, kiedy siedziała roztrzęsiona w samochodzie, na co odpowiedziała, że to nie dlatego nie chce obok nich przejść.

To ich się boi. Powiedziała, że przypominają jej bezrozumną hordę zdolną do popełnienia każdej przemocy, którą im się nakaże.

Nawet nie wiedziała, jak trafne były jej słowa.

Powoli objechaliśmy pierwszy róg. I rzeczywiście, poczępali za nami. Potem Dale szybko dał na czwórkę i z piskiem opon okrążyliśmy budynek do końca.

Kiedy wróciliśmy do głównego wejścia, stało ich tam już tylko pięcioro czy sześcioro, nie licząc tego, który ciągnął się na dwóch częściowo zjedzonych nogach. Tom podał mi Uzi, a sam wziął trzydziestkę ósemkę i przycisnął do piersi pudełko. Dale zdecydował się na maczetę (choć nie chcia-

Used to be disgusted, now I try to be amused.
Elvis Costello „Red Shoes”.

łam patrzeć, jak jej używa na kilka minut przed tym, jak ma na mnie operować!).

Biegiem ruszyliśmy do drzwi. Tom trafił dwa między oczy. Uniosłam Uzi, zapominając, z jaką prędkością strzela, i rozzerwałam jednego na strzępy. Poczułam, jak przewraca mi się w żołądku na widok stęchłej szarej masy rozbryzgującej się na drzwiach. Dale biegł dalej, odpychając dwa kolejne na boki. Jeden odbił się i chwycił go za ramię. Dale obrócił się i zamachnął maczetą, odcinając rękę stwora, którego następnie odsunął kopniakiem. Zerwał z ramienia martwą rękę, rzucił ją na bok i powiedział, żebyśmy go osłaniali, gdy będzie otwierał drzwi.

Podczas gdy on majstrował kluczami, Tom zastrzelił te dwa, obok których Dale przebiegł. Potem zacięła mu się broń. Starał się ją naprawić, a ja patrzyłam zdenerwowana w dół ulicy, skąd te, które nabraliśmy, człapały z powrotem, z makabrycznym księdzem na czele. Nagle poczułam coś na kostce. Spojrzałam w dół i zobaczyłam, że ten bez nóg dowlekl się w górę stopni i rozdziawił już gębę, żeby ugryźć mnie w łydkę. Spanikowałam i chwyciłam Walthera z kabury Dale'a. Wydaje mi się, że krzyczałam, gdy strzelałam w głowę zombie. Umarł i puścił moją nogę, a gęsty brązowy płyn wsiąkał w koszulkę z napisem URATUJ DUSZĘ – ZAMKNIJ KLINIKĘ.

Dale otworzył drzwi i weszliśmy do środka.

Później Tom powiedział, że musiał podważyć moje palce, żeby zabrać mi pistolet, podczas gdy Dale uruchamił agregat i wszystko przygotowywał.

Zanim zdążyłam się zorientować, Dale był już przy mnie, w rękawiczkach i masce, mówiąc, że jest gotowy.

Nie za wiele pamiętam z samego zabiegu, poza tym, że poprosiłam, żeby Tom zaczekał na zewnątrz – no i ten hałas. Potworny hałas, który rozbrzmiewał przez cały czas, gdy byliśmy w środku:

To oni, walący do drzwi – powolne ciężkie łomotanie, nieustające i bezlitosne.

Dale jest, jak już wspomniałam wcześniej, świetnym lekarzem i szybko było po wszystkim. Zatrzaszczył się o to, żebym nie zobaczyła co wkłada do maleńkiego drewnianego pudełka, które przyniósł Tom, a ja sama o to nie prosiłam. Pudełko, które zostało pięknie wyrzeźbione przez Rudy'ego V., zabierzemy ze sobą do Kolonii, gdzie zostanie pochowane.

Była tylko jedna rzecz, o którą musiałam zapytać, mimo że była to bardzo makabryczna myśl. Musiałam wiedzieć czy – musiałam mieć pewność, że Dale – Boże, nie mogę tego nawet napisać.

Ale on wiedział, o co mi chodzi, i gdy zdejmował rękawiczki powiedział mi, że nie muszę się o to martwić. Ani jeden nie powrócił po aborcji. Wszyscy inni musieli być skremowani lub mieć zniszczone mózgi, żeby nie powstać.

Co za ironia, pomyślałam, że w ten sposób ostatecznie rozstrzygnie się Wielka Debatka. Nie są dość ludzkie, żeby powrócić. Aborcja to nie morderstwo.

Wyjście stąd zdecydowanie jest trudniejsze niż wejście, ale Dale miał wszystko opracowane. Tom miał wyjść bocznym oknem, odciągając je od Dale'a i ode mnie. Dale zamknie drzwi, a Tom i ja będziemy go osłaniać, po czym wszyscy pojedziemy do jeepa. Byłam, oczywiście, ciągle osłabiona, a Tom nie chciał mnie zostawiać, ale Dale powiedział, że tak będzie



najbezpieczniej, i że będzie na mnie uważał. Tom zgodził się niechętnie.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Były powolne i łatwo dało się je skołować, a jak już zobaczyły dwoje z nas na ganku, a jedno przy jeepie, nie wiedziały, w którą stronę się zwrócić. Tom zastrzelił kilka, które stały nam na drodze. Dale zamknął drzwi, schował klucze i wziął ode mnie Uzi, a ja niosłam trumienkę.

Jak już byliśmy w aucie, Dale uruchomił silnik i wycofał. Już uderzały o boki, szarpiały przylutowaną klatkę, śliniąc się na żółto. Jeden nie chciał puścić i ciągnął się za nami pięćdziesiąt stóp, zanim oderwały mu się palce. Tom nawet coś do niego krzyknął.

Dale był już gotowy odjechać, kiedy poprosiłam go, żeby zatrzymał się i wrócił. Zachamował, po czym razem z Tomem obrócili się, by na mnie spojrzeć. Z szeroko otwartymi ustami wyglądali jak martwiaki. Spytali dlaczego, a ja po prostu podałam Tomowi nasze pudełko, chwyciłam sztucer, wyszłam i zaczęłam iść z powrotem do kliniki.

Podbiegli do mnie, Tom mówiąc, że to jeszcze wpływ zabiegu, a Dale ostrzegając, że w każdej chwili mogą zacząć poważnie krwawić. Zignorowałam ich, gdy zobaczyłam martwiaki na końcu ulicy, idące chwiejnie w naszą stronę.

Musiałam wytrzeć łzy z oczu – nie wiedziałam nawet, że płaczę. Podniosłam broń i wycelowałam w pierwszego. Strzeliłam i zobaczyłam jak rzuca go do tyłu na ulicę, gdzie zamarł w bezruchu, wreszcie całkiem martwy. Tom i Dale chcieli mi zabrać broń, ale odepchnęłam ich i znów strzeliłam. Tom mówił, że już wszystko tu załatwiliśmy i że nie ma sensu marnować amunicji na te sukinsyny, ale powiedziałam mu, że muszę to zrobić. I powiedziałam mu – powiedziałam im obu – dlaczego.

Po tym zostawili mnie w spokoju, dopóki nie został już tylko jeden martwiak – ksiądz. Ręce drżały mi tak mocno, że prawie nie mogłam utrzymać broni, ale był już blisko – jakieś trzydzieści stóp – i trudno byłoby spudłować. Pierwszy strzał oberwał mu kawał skóry i to, co zostało z koloratki, ale drugim już go położyłam.

Upuściłam sztucer, a Tom i Dale musieli zanieść mnie do jeepa.

Ale teraz już leżę w łóżku w domu i Dale mówi, że fizycznie wszystko ze mną w porządku. Brak mi dziecka, którego nigdy nie poznam i jest to ból, który znacznie przewyższa wszelkie niedogodności fizyczne, ale jest ze mną Jessie i mocno mnie przytula, nim Tom posyła ją spać.

Teraz się uśmiecham, myśląc o tamtej ulicy i pisząc te słowa. Bo wiem, że już żadna z kobiet, które będą po mnie, nie będzie musiała znosić nic ponad potworność oddania części siebie.

Przełożyła **Patricia Sørensen**

Dlaczego – silnik historii

MICHAEL J. SULLIVAN



© Archiwum autora

Większość kluczowych bohaterów ma bardzo jasne motywacje, bo historia zazwyczaj dotyczy tego, czego chcą i jak to zdobędą. Sęk w tym, że niektórzy pisarze na tym poprzestają.

W drugim odcinku „Rad dla piszących” wytłumaczyłem pojęcia „Kto”, „Co” i „Gdzie”, pominąłem natomiast „Dlaczego”. Jak pamiętacie, „Kto” dotyczy kreacji postaci, „Co” fabuły, a „Gdzie” miejsca akcji. Co pozostaje dla „Dlaczego”?

Gdy tworzymy danego bohatera, bardzo ważnym aspektem – i często pomijanym – jest jego motywacja. Ma decydujące znaczenie dla kreacji postaci i tego, jak wpasowuje się ona w historię. Większość kluczowych bohaterów ma bardzo jasne motywacje, bo historia zazwyczaj dotyczy tego, czego chcą i jak to zdobędą. Sęk w tym, że niektórzy pisarze na tym poprzestają.

We wczesnych latach 90. ubiegłego wieku grałem w pewną grę komputerową. Było to RPG, popularne ze względu na ogromny świat, z wieloma interaktywnymi miastami. Sęk w tym, że wszystkie były takie same. Generowało się je automatycznie, przez co wyglądały identycznie, podobnie jak ich mieszkańcy, niczym w jakimś odcinku „Strefy mroku”. Przede wszystkim zaś, to było nudne. Książki też mogą takie być, jeżeli jedyną postacią z motywacją jest główny bohater.

W kinowej wersji (w rozszerzonej już nie do końca) „Władcy Pierścieni” nie mogłem zrozumieć, dlaczego Pippin i Merry dołączyli do Froda i Sama¹. Sprawiali wrażenie nieznajomych, którzy wpadli na siebie przypadkiem i zdecydowali się porzucić swoje życie, przyjaciół, domy i obowiązki, by wybrać się w podróż z kimś, kto najwyraźniej był dla nich obcym. Nie ma w tym winy Tolkiena, w książce wszystko było wyjaśnione, bohaterowie mieli swoje powody, by wyruszyć z Frodem, ale w filmie tego nie przedstawiono. W wielu powieściach autorzy pomijają motywacje postaci drugo- czy trzecioplanowych.

No i oczywiście jest także główny antagonista.

Zło dla samego zła jest powszechne w fantasy, ale pojawia się także choćby w horrorach czy thrillerach. Gatunek, w którym tworzyli Tolkien czy Le Guin wykształcił się już jakiś czas temu i sądzę, że dawniej postrzeganie świata było prostsze. Jak inaczej niektóre narody mogłyby usprawiedliwiać masowe rzezie, jeśli nie tym, że to byli barbarzyńcy, dzikusy albo po prostu źli ludzie? Takie czarno-białe postrzeganie świata przetrwało, ale we współczesnym fantasy odchodzi się od niego. Czytelnicy są zainteresowani bardziej skomplikowanymi motywacjami bohaterów, zwłaszcza tych złych. Nie satysfakcjonują już ich Sauron czy Voldemort, którzy są źli i kierują się wyłącznie żądzą władzy i dominacji. Chcą wiedzieć, dlaczego. (Chociaż, co dziwne, stary Voldemort poradził sobie zaskakująco dobrze.)

Jeżeli poświęcicie trochę czasu, by zastanowić się, dlaczego Zły chce zniszczyć świat, zauważycie, że samo w sobie zniszczenie świata jest głupim pomysłem,

Na pewno słyszeliście pisarzy, którzy przyznawali, że bohaterowie sprawiali, że fabuła rozwijała się nieprzewidywany sposób. Właśnie o to chodzi. Możesz zmusić opowieść, by była taka, jaką ją wymyśliłeś, albo możesz pozwolić bohaterom podążać za swoimi motywacjami i obserwować, dokąd cię to zaprowadzi. Pierwszy wybór zawsze jest sztuczny; czytelnicy to wyczuwają i historia jest dla nich mało wiarygodna. Prawie zawsze lepiej jest słuchać bohaterów i pozwolić im być takimi, jakimi ich uczyniliśmy.

1. Nie do końca jest to zgodne z faktami, ponieważ należy pamiętać, że Merry i Pippin byli gośćmi na przyjęciu Bilba, a podczas spotkania na polu kukurydzy Pippin zwraca się do Froda po imieniu. W późniejszej scenie zaś nazywa go kuzynem ze strony matki – przyp. red.

NAGRODY CZYTELNIKÓW „NF” 2011

W STYCZNIU 2012 R. POPROSILIŚMY CZYTELNIKÓW O WSKAZANIE NAJLEPSZYCH TEKSTÓW, GRAFIKÓW I OKŁADEK OPUBLIKOWANYCH W CIĄGU MINIONEGO ROKU, KTÓRE CHCIELIBY NAGRODZIĆ.

LAUREATAMI PLEBISCYTU NAGRODY CZYTELNIKÓW „NOWEJ FANTASTYKI” ZA ROK 2011 ZOSTALI:

OPOWIADANIE POLSKIE

Pierwsze miejsce zdobył **Lukasz Orbitowski** opowiadaniem **„Wszystko o moich matkach”** („NF” 12), na które oddano 10,4% głosów. Drugie miejsce zajęło opowiadanie **„Martwy Siuks i pianista Joe”** Krzysztofa Kochańskiego („NF” 9) – 9,3%, a trzecie **„Dzieci to nasza przyszłość”** Roberta Zielińskiego („NF” 9) – 8,3%. Czytelnicy oddali głosy na 27 opowiadań.

OPOWIADANIE ZAGRANICZNE

W tej kategorii zwyciężyło opowiadanie **Petera Wattsa** **„Wyspa”** („NF” 5) z wynikiem 17,7% głosów. Drugie miejsce zajął **Ian R. MacLeod** **„Drugą podróżą maga”** („NF” 7), zdobywając 7,2% głosów. Na trzecim ex-aequo uplasowały się trzy opowiadania z jednakowym

wynikiem 6,2%: **„Słowa na n”** („NF” 4) i **„W górę świata”** („NF” 10) Teda Kosmatki oraz **„Kiedy cienie są zmarnięte i głodne”** K.P. Burke’a („NF” 12). Głosowano na 29 opowiadań.

PUBLICYSTYKA

Za najlepszy artykuł 2011 roku uznano **„Jak to się robi z kosmitami”** **M.R. Wiśniewskiego** („NF” 10), który zdobył 7,4% głosów. Drugie miejsce zajęły trzy teksty, które uzyskały wynik 5,3%: **„Granice nauki, granice SF”** Marcina Zwierchowskiego („NF” 3), **„Wielki Brat naprawdę patrzy”** („NF” 2) A. Mischczaka oraz **„Światło i dźwięk”** L. Jęczyka („NF” 1).

W tej kategorii oddano głosy na aż 42 artykuły.

RYSONNIK

Czytelnicy najwyżej ocenili rysunki **Piotra Rosnera** (24,4% głosów). Drugie miejsce zajął **Marcin Kułakowski** (20%), a trzecie **Nikodem Cabała** (14,4%).

OKŁADKA

W głosowaniu z miażdżącą przewagą (32,2%) zwyciężyła **okładka lipcowa** autorstwa **Vitalya S. Alexiusa**. Drugie miejsce zajęła okładka grudniowa **Randisa Albiona** (19,7%), a trzecie styczniowa (9,3%), stworzona przez **Erica Wilkersona**.

OBCIACH ROKU

Najwięcej głosów (22,2%) otrzymał komiks **„Funky Koval – Wrogie przejęcie”**.



07.2011

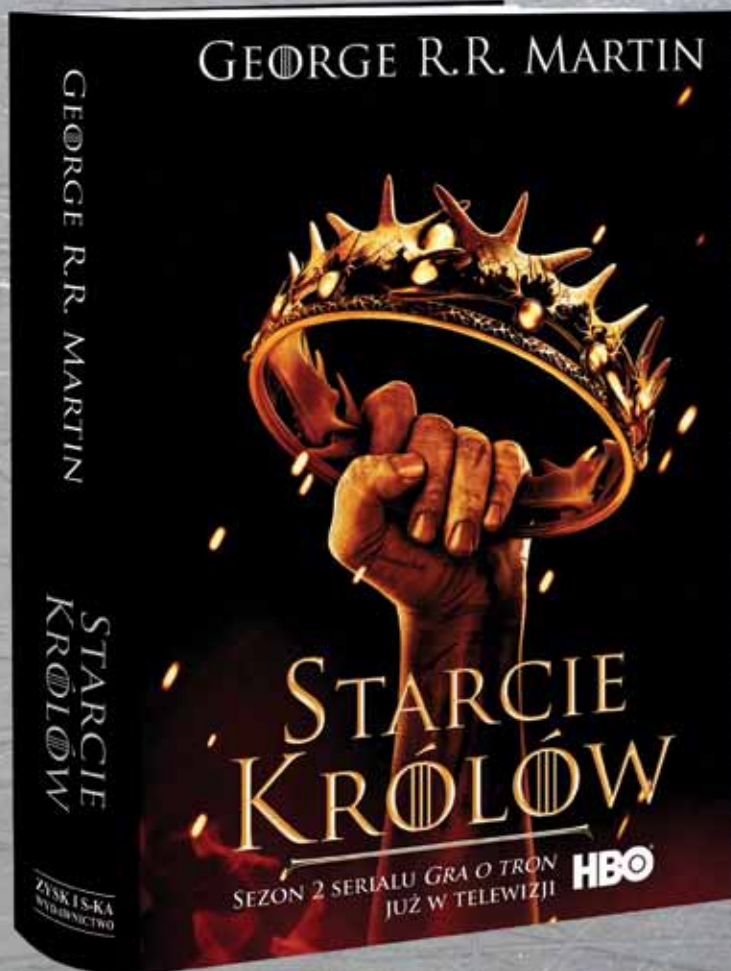
Wszystkim uczestnikom plebiscytu serdecznie dziękujemy. Nagrody – książki „Mała krew” otrzymują:

Anna Walc (Mrągowo), Kamil Malinowski (Niemodlin), Karolina Grochola (Gdańsk), Monika Mordalska (Ostrowiec Świętokrzyski), Dariusz Szczepanec (Przemyśl), Jarosław Świć (Chybie), Filip Jakubowski (Poznań), Sławomir Grabowski (Mońki), Mariusz Klimas (Brzesko), Maciej Tomczak (Kutno), Michał Mochalski (Słomniki), Agnieszka Szwajca (Daleszyce), Mariusz Setera (Brzeg Dolny), Jarosław Pałucki (Goszczanów), Aneta Bryłowska (Elk)

Nagrody – książki „Bar dla potępionych” otrzymują:

Dariusz Żółkowski (Lublin), Przemysław Turowski (Augustów), Piotr Zajczyk (Przemyśl), Tomasz Bazylczuk (Komorowo), Marcin Guziak (Szczecin), Kamil Kuźbicki (Lubiec Górny), Dominik Struzik (Wrocław), Maciej Brzeziński (Ślesin), Katarzyna Skorek (Katowice), Grzegorz Wójcik (Wrocław), Katarzyna Leśniak (Kraków), Martyna Bąk (Celestynów), Sławomir Charaziak (Sosnowiec), Paweł Stodulski (Clonmel, Irlandia), Edward Michura (Limanowa)

ILUSTR. PIOTR ROSNER



GEORGE R.R. MARTIN

STARCIE KRÓLÓW

Nowe wydanie II tomu
bestsellerowego cyklu
Pieśń Lodu i Ognia
już w sprzedaży

www.zysk.com.pl

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO



PROMOCJA PRENUMERATY

Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Garażowa 7, 02-651 Warszawa
76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

PRENUMERATA	„NF”	„FWS”	„NF”+„FWS”	„CZAS FANTASTYKI”
ROCZNA	84,00	32,00	108,00	40,00

PYTANIA DOTYCZĄCE PRENUMERATY:

- **TELEFONICZNIE:** (w godz. 8.00–17.00): 22 607 78 27
- **LISTOWNIE POD ADRESEM:** Prószyński Media Sp. z o.o.,
ul. Garażowa 7, 02-651 Warszawa
- **LUB NA ADRES E-MAILOWY:** prenumerata@proszynskimedia.pl

ZASADY PRENUMERATY:

- prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy
- reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy
- koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.

Upewniamy się, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Garażowa 7, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz. U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).



NIEZWYKŁA PRZYGODA W ŚWIECIE ZŁODZIEI I TYCH, KTÓRZY NA NICH POLUJĄ

Ulice Deeplaven nie są bezpieczne.
Miasto odbudowuje się po brutalnej wojnie domowej,
która przetoczyła się przez Imperium. Młody Berren chce
odmienić swój los. W akcie desperacji okrada tego,
którego boi się każdy rabus — łowcę złodziei. Za zuchwałość
przyjdzie mu zapłacić życiem. W najlepszym wypadku czeka go
niewolnicza praca w kopalni.

Tajemniczy mistrz Syannis ma jednak wobec Berrena inne plany.

NAJTANIEJ KUPISZ NA ksiegarnia.proszynski.pl

Fantastyka

ADRES REDAKCJI:

ul. Garażowa 7
02-651 Warszawa
Telefon 22 607 77 94
Faks 22 848 22 66

E-MAIL:

nowafantastyka@fantastyka.pl

WWW.FANTASTYKA.PL

Wydaje Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Garażowa 7,
02-651 Warszawa

Prezes zarządu:
Maciej Makowski

Dział Promocji i Reklamy:
Artur Kaczorek, tel. 22 607 77 39
arturkaczorek@proszynskimedia.pl

Druk i oprawa:
ORTIS SA, ul. Wojska Polskiego 1
85-171 Bydgoszcz

Kolportaż:
Firma 2M, tel. 22 607 79 10
magdalenaszwed@firma2m.pl

REDAKCJA:
Jakub Winiarski
redaktor naczelny, tel. 22 607 77 94
jakubwiniarski@fantastyka.pl

Maciej Parowski
zastępca redaktora naczelnego
Dział Literatury Polskiej, tel. 22 607 77 93
maciejparowski@fantastyka.pl

Marcin Zwierzchowski
Dział Literatury Obcej, tel. 22 607 77 92
marcinzwierzchowski@fantastyka.pl

Jerzy Rzymowski
Dział Publicystyki, tel. 22 607 77 96
jerzyrzymowski@fantastyka.pl

Irina Pozniak
Dział Graficzny, tel. 22 607 77 34
irinapozniak@proszynskimedia.pl
alicjadrudnik@proszynskimedia.pl

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:
Wojciech Chmielarz, Jakub Cwiek, Paweł
Depluch, Arkadiusz Grzegorzak, Agnieszka
Haska, Rafał Kosik, Joanna Kulakowska, Kamil
Lesiewicz, Waldemar Miąskiewicz,
Łukasz Orbiński, Bartłomiej Paszyk,
Przemysław Pieniążek, Piotr Pierkosz,
dr Jerzy Stachowicz, Rafał Śliwiak, Peter Watts.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych,
w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo do dokonywania
zmian i skrótów. Za treść reklam nie odpowiadamy.
http://www.fantastyka.pl/nadchodz_konkurs

INDEKS 358398

PL ISSN 0867-132X